NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 4 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 17 lutego 1906 r. | Nr. 7.

Śmiertelna sanna.

(Treść na stronie 2).





Przed pogrzebem w Kopenhadze: Zmarły król duński, Chrystyan IX., na łożu śmierci w swoim gabinecie na zamku Amalienburgskim w Kopenhadze.

Śmiertelna sanna.

(Do illustracyi tytułowej).

Rzecz straszna zaiste — pomyśleć, że się jedzie do kościoła na nabożeństwo i w drodze ginie się najtragiczniejszą śmiercią, rozbiwszy sobie głowę... o kupę kamieni na gościńcu. Jakżeśmy „dnia i godziny nie pewni" — doprawdy! Ot, świeżo zdarzył się taki wypadek w Krośnie, a ofiarą jego padł człowiek znany i powszechnie kochany w całym powiecie, weterynarz tamtejszego starostwa, Wojciech Cielenkiewicz.

Wybrał on się sanną do kościoła z całą rodziną. Zjeżdżano z górki stromej, rządowym gościńcem od strony cmentarza ku miastu, gdy wtem koń się spłoszył i poniósł z góry na dół. Naraz sanie zawadzają o stos kamieni budowlanych, przewracają się gwałtownie i cała rodzina wypada na śnieg. Ba, gdybyż tylko w śnieg wszyscy zaryli. Ale sam Cielenkiewicz, wypadając jak z procy, uderzył nieszczęśliwie głową o kupę kamieni i to tak strasznie, że sobie o nie roztrzaskał czaszkę, z której na miejscu mózg wypłynął.

Rodzina, która wyszła z katastrofy prawie bez szwanku, wypadłszy z sanek na tę stronę gościńca, gdzie nie było kamieni, odwiozła konającego do szpitala, gdzie w godzinę po wypadku Wojciech Cielenkiewicz wyzionął ducha.

Tragiczny koniec śmiertelnej sanny na krośnieńskim gościńcu rządowym przypomniał dopiero często wyrażane obawy, jakie budziły kupy kamieni, na tej najruchliwszej w Krośnie drodze poskładane od dawna. Narzekano zwłaszcza na największy stos głazów budowlanych, leżący od niepamiętnych czasów właśnie u stóp wspomnianej górki, na końcu stromej drogi już w samem mieście, przepowiadając nieszczęście. Ale władze odpowiednie zwracają uwagę na takie rzeczy dopiero wówczas, gdy zdarzy się katastrofa. Niechże ostatni wypadek śmiertelny w Krośnie, będzie na przyszłość pouczającą przestrogą.

Przed pogrzebem w Kopenhadze.

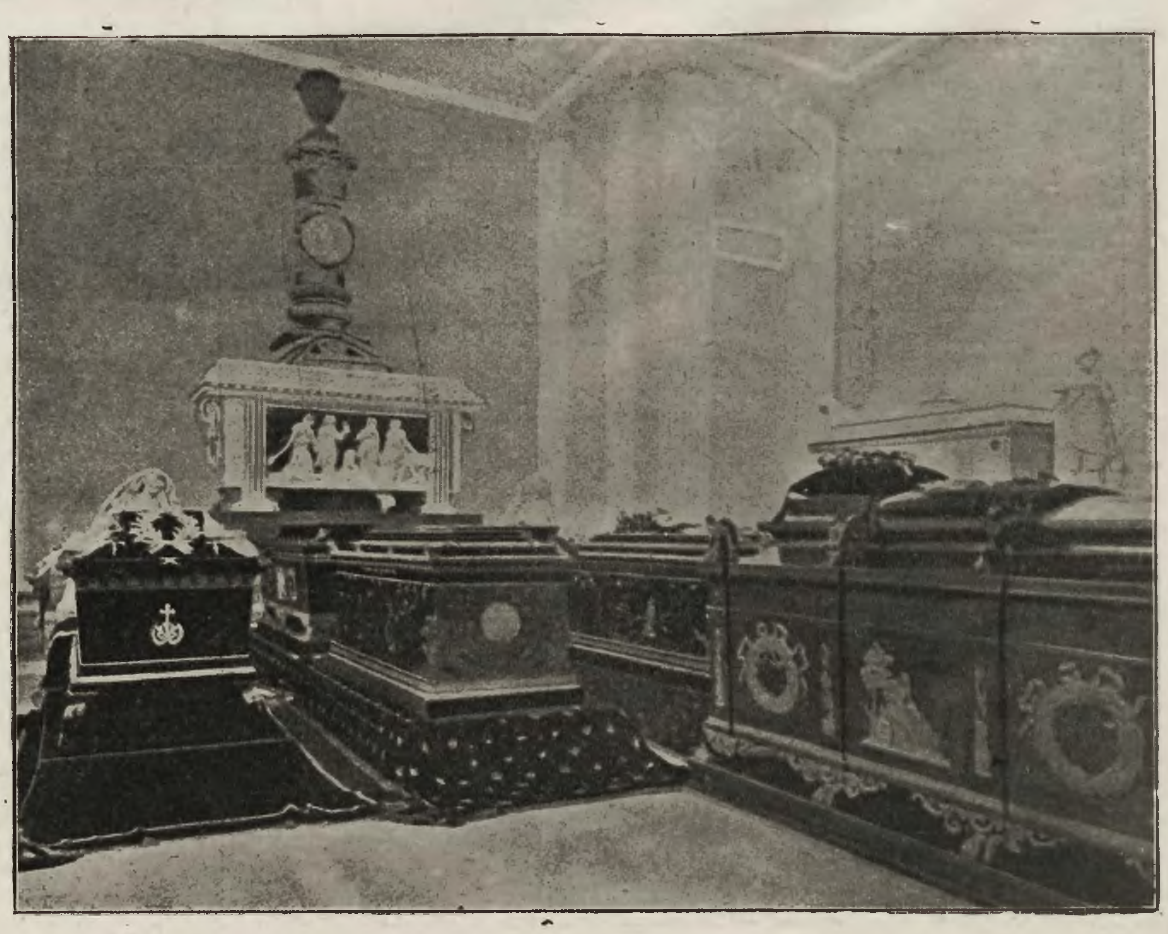
Dania w żałobie. W Kopenhadze przygotowują się do pogrzebu sędziwego króla Chrystyana IX. Zjadą się na te uroczystości do stolicy duńskiej monarchowie liczni, przeważnie członkowie rodziny zmarłego; zjadą świty ich i dygnitarze państwowi z różnych krajów. To też dwór krząta się na przyjęcie gości żałobnych. A tymczasem strapieni Duńczycy przypominają sobie przeróżne szczegóły z długiego życia ukochanego monarchy, opowiadają niezliczone anegdoty, malujące dobroduszność Chrystyana IX. i dowodzące wielkiej popularności jego w kraju. Osoby, bliżej dworu stojące, zapewniają, że zmarły król dosięgnął lat 88 wieku przy zachowaniu sił ducha i ciała, głównie dzięki temu, że prowadził życie regularne. Jedyną podobno namiętnością jego była wojskowość. Przed 60 laty wstąpił do wojska duńskiego, jako rotmistrz i nigdy z niego nie wystąpił, odbywając chętnie z armią uciążliwe pochody i biorąc udział we wszelkich manewrach. Do późnego wieku słynął, jako najlepszy poskromiciel dzikich koni. Znano go też wszędzie z wielkiego zamiłowania do myśliwstwa i do różnych sportów. Wstawał codzień bardzo wcześnie. Śniadanie jadał w kółku rodzinnem, potem udzielał audyencyj, jeździł lub chodził na przechadzkę, zimą i latem długo zwykle błądził po ulicach bez eskorty, często jeździł tramwajem, wdając się w rozmowy z proletaryatem, nawet nieraz niepoznawany. O szóstej wracał na obiad. Kółko rodzinne gromadziło się w małym saloniku, a gdy służący w ponsowej liberyi zameldował, że do stołu podano, król, poprzedzony przez marszałka, wchodził do jadalni, za nim dzieci i wnuki, wreszcie — jak czasem — obcy goście. Obiad bywał zawsze skromny. Szampana podawano tylko, gdy byli goście. Przy stole panowała wesoła rozmowa. Po obiedzie król grywał w wista. Z uderzeniem 11-tej odkładano karty, żeby zasiąść do kolacyi, złożonej stale z potraw narodowych duńskich, jak zupa piwna, mleko, galareta z rumbarbarum, przekąski mięsne, sery, raki i rzodkiew. Punktualnie o północy król mówił wszystkim dobranoc i szedł spać. Gaszono światła w pałacu i zalegała wszystkie komnaty rezydencyi królewskiej cisza wielka — taka, jak dziś od dwóch tygodni panuje tam i w dzień, dopóki Chrystyan IX. leży na katafalku.

Załączona rycina nasza, przedstawia sędziwego monarchę na łożu śmierci.

Gdzie spocznie zmarły król duński.

Król Wendów i Gotów, Chrystyan IX, żył tak długo, umierając bowiem przed dwoma tygodniami, liczył 88 lat, że Dania już zapomniała, jak wyglądają pogrzeby jej królów. Wszyscy zaś Duńczycy znają tylko miejsce wiecznego spoczynku swoich monarchów. Znajduje się ono opodal Kopenhagi, w prześlicznie nad brzegiem Kattegatfjordu położonem miasteczku starożytnem — Roskilde, wśród którego wąskich a cichych uliczek z kamiennemi domostwami, o spiczastych dachach, ciężką krytych dachówką i oknach z ołowianemi oprawami szyb, wychylają się z zieleni drzew nad spokojną zatoką, wysmukłe a przedziwne wieżyce sławnego





Gdzie spocznie zmarły król duński: Starożytna katedra w Roskilde pod Kopenhagą, mieszcząca grobowce wszystkich królów duńskich.
(Widok zewnętrzny). (Wnętrze katedry z grobami królewskimi).

tumu. Widzimy go właśnie obok na rycinie naszej. Ta katedra w Roskilde, należąca do najstarszych i najpiękniejszych świątyń skandynawskich, kryje zwłoki władców Danii i Norwegii. Zbudował ją jeszcze król Harald Blaatand z drzewa, poczem przekształcono ją w trzysta lat później, około 1215 r.



Zmiana naczelnictwa w lwowskiej straży pożarnej: Radca Paweł de **Praun, przechodzący** w stan spoczynku naczelnik miejskiej straży pożarnej we Lwowie.

ma tum murowany, w którym główną nawę otacza szereg kaplic z grobowcami królewskimi. Tu leży Harald i Waldemar Wielki, a z dynastyi Oldenburskiej szesnastu monarchów z całemi rodzinami. Pomnik każdego z nich jest pięknym zabytkiem, a spotykamy tu wszelkie style. Najwspanialszą jest gotycka kaplica Chrystyana I ze staroświeckiemi na ścianach malowidłami. W katedrze roskildskiej przybędzie teraz nowy, piękny sarkofag, tu bowiem spoczną zwłoki dobrodusznego nestora współczesnych monarchów całego świata. Nowy grobowiec stanie w kaplicy, której podobiznę dajemy dziś na drugiej rycinie z Roskilde. Wśród huku dział i dzwonów otworzą się za dni kilka wrota starożytnej katedry na przyjęcie trumny monarszej, z którą przybędą ze stolicy sąsiedniej tłumy dostojników kirem odzianych. Wtedy miasteczko napełni się gwarem niezwykłym i zgiełkiem pogrzebowego konduktu. Jedyna to okoliczność — a zawsze żałobna — w jakiej ożywia się ciche Roskilde, które zresztą zawsze sprawia wrażenie, jak gdyby wieki cywilizacyi przeszły nad niem bez śladu. Tam po dziś dzień o wieczornej godzinie, kiedy fjord spokojny nabierze barw purpury srebrem przetykanej, rozlegają się w ciszy wielkiej odgłosy drewnianych sabotów na stopach dziewcząt, idących na rynek przed nocą po wodę, a z poza szyb kamiennych okien płyną dźwięki gitary lub szpinetu do wtóru pieśni narodowych o Zygfrydzie, o Kanucie srogim lub paziu Dagobercie, który zginął z ręki zazdrosnego pana w podziemiach roskildskich.



Zmiana naczelnictwa w lwowskiej straży pożarnej: I. zastępca naczelnika miejskiej straży pożarnej we Lwowie, Hilary Eliasiewicz.

Zmiana naczelnictwa w lwowskiej straży pożarnej.

W zeszłym tygodniu przyjęła Rada miejska we Lwowie prośbę naczelnika straży pożarnej radcy Pawła Prauna o przeniesienie go w stan spoczynku po 42 latach służby, a równocześnie zamianowała jego następcą p. Józefa Żytnego, kapitana 30 pp.

Ustępujący naczelnik straży p. Paweł de Praun urodził się w r. 1863 w Korołówce, ukończył szkołę handlową w Brodach, i został przydzielony do Pionier-Corps, a następnie w r. 1851 powołany do Pionier-Corps-Academie w Tulln pod Wiedniem, skąd wyszedł w 1855 roku jako podporucznik. W roku 1864 został wysłany do Moguncyi, a następnie do Berlina na specyalne studya pożarnictwa, i wnet potem został zamianowany przez gminę miasta Lwowa naczelnikiem miejskiej straży pożarnej i na stanowisku tem po dziś dzień pracował gorliwie. Postać radcy Prauna należy do bardzo we Lwowie popularnych a ogólnie szanowanych i lubianych. Jest to jeden z tych niewielu, którzy wrogów nie mają — a mają bardzo wielu przyjaciół. Wspomnieć nakoniec warto, że z czasów swej służby wojskowej ma radca Praun order żelaznej korony III. kl. za waleczność (podczas kampanii włoskiej 1851), heski wielki order Filipa I. kl., oraz pięć medali.

* * *

Następca p. Prauna, kapitan p. Józef Żytny jest Lwowianinem; liczy obecnie 39 lat. Odbywszy służbę jednoroczną przy 30 batalionie strzelców, wstąpił jako podporucznik do czynnej służby przy 30 pp. we Lwowie. W r. 1893—94 ukończył wojskowy kurs dla nauczycieli szermierki, gimnastyki i pożarnictwa w Wiener-Neustadt ze znakomitym postępem. W latach 1896-99 był nauczycielem gimnastyki i szermierki w szkole kadeckiej w Strass koło Marburga. Następnie powrócił do Lwowa i tu w maju z. r. został mianowany kapitanem. P. Żytny jest zamiłowanym sportsmanem, od lat dziecięcych oddawał się z prawdziwym fanatyzmem ćwiczeniom cielesnym, był też przez długie lata członkiem lwowskiego „Sokoła“. W ostatnich czasach ze szczególniejszem zamiłowaniem uprawiał szermierkę i napisał na ten temat książeczkę pt.: „Zarys szermierki na szable podług metody włoskiej“. Nominacya kapitana Żytnego naczelnikiem straży pożarnej we Lwowie wywarła zupełnie dodatnie wrażenie, nominat bowiem cieszy się w szerokich kołach miasta ogólną sympatyą dla swych wybitnych zalet towarzyskich i umysłowych.

* * *

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portrety ustępującego i nowomianowanego naczelnika straży radcy Prauna i kapitana Żytnego, oraz pp. Hilarego Eliasiewicza, I., i Floryana Złotowskiego II. zastępcy naczelnika, którzy od wielu lat dzielnie spełniają swe żmudne obowiązki.

Rewizye osobiste na ulicach Warszawy.

(Do illustracyi na stronie 13).

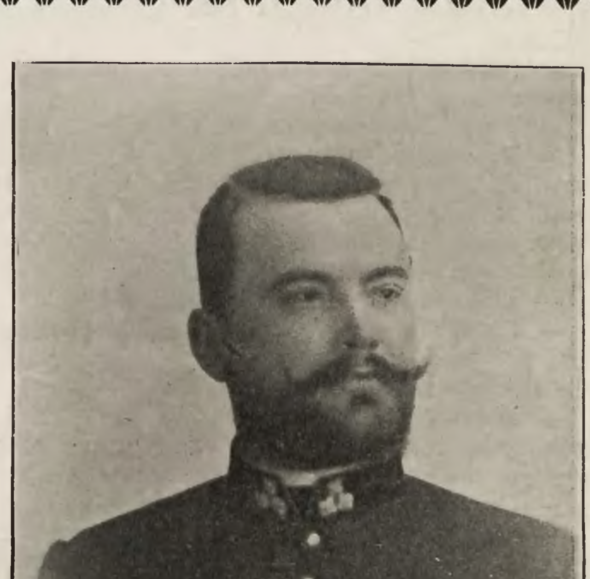
Jak wiadomo, w czasie stanu wojennego w Warszawie, patrole policyjno-wojskowe odbywają rewizye osobiste na ulicach.



Zmiana naczelnictwa w lwowskiej straży pożarnej: Nowomianowany naczelnik miejskiej straży pożarnej we Lwowie, kapitan Józef Żytny.

Przechodnia, który tylko wydaje się podejrzanym, zatrzymuje patrol, każe mu w górę ręce podnieść, poczem policyanci lub żołnierze przeszukują jak najbardziej szczegółowo zarówno kieszenie, jak i wszelkie części ubrania zatrzymanego. Patrol odbiera rewidowanemu — co tylko uzna za stosowne. W razie, gdy znajdzie się cokolwiek, budzącego podejrzenie, patrol natychmiast aresztuje takiego przechodnia i odprowadza do najbliższego cyrkułu. W przeciwnym wypadku, jeżeli rewizya osobista nie da żadnego rezultatu, patrol, po sprawdzeniu dokumentów legitymacyjnych, puszcza wolno przechodnia, który uszczęśliwiony śpieszy co żywo ku domowi.

Jednemu z korespondentów udało się aparatem fotograficznym uwiecznić właśnie chwilę tego rodzaju rewizyi na ulicy Smolnej. Scenę tę przedstawia nasza rycina na str. 13.



Zmiana naczelnictwa w lwowskiej straży pożarnej: Zastępca naczelnika miejskiej straży pożarnej we Lwowie, Floryan Złotowski.

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

38 Ciąg dalszy.

— Jedną zmianę: jesteście, Olgo, za piękną, — zaśmiał się — i przywozicie ze sobą wiosnę życia i wolności.

Obsiedli we troje stolik i Olga spytała:

— Co słychać w partyi?

— Pracujemy, organizujemy, i z dwustu pięćdziesięciu ośmiu dziesiątek w kwietniu, mamy pięćset bez trzech. I to zrobiła w znacznej mierze nasza gazeta, przygotowała grunt, wszczepiła ferment pomiędzy masą robotniczą. Mamy roboty pełne ręce. Przyjdziecie do mnie, pokażę wam naszą mapę organizacyjną.

— I mogę przyjść do was?

— Prawda, nie wiecie, że teraz nająłem z polecenia partyi obszerne mieszkanie, z dwoma wejściami na narady nasze. Dosyć wysoko mieszkam, ale nie można rozrzucać pieniędzmi partyjnemi, bo zawsze ich mało w stosunku do potrzeb.

— A co słychać z „Wolnością“?

— Drukujemy, ale stopniowo przechodzimy na odezwy, naklejamy, rozrzucamy, bo trzeba i burżujów poruszyć, przygotować, oświecić... Jedną drukarnię naszą odkryto na Woli; dzielnie się bronili nasi i wyobraźcie sobie smutne rozczarowanie policyi, gdy w kilka dni wyszedł, jak zwykle, nasz numer.

Zaczął szczegółowo opowiadać o treści numerów, odezw, o trudnościach kolporterki i schwytaniu roznosicieli i naklejaczy odezw.

— Muszę już iść — wstała Olga — blisko dziesiąta, a obiecałam ciotce....

— Odprowadzę was do rogu ulicy, bo i ja się śpieszę — powiedział Bolek.

Gdy znaleźli się sami na chodniku, odezwał się po lekkiem wahaniu:

— Olgo, a nie olśniła was zagranica? Nie zbłękitniały dla was nasze przyrzeczenia i słowa?

— Nie, Bolku, są zawsze świeże i żywe.

— Dziękuję wam... a tęskniłem za wami szalenie, li tylko praca i niebezpieczeństwo nie pozwoliły mi zmięknąć i zesłabnieć.

— Byliście w niebezpieczeństwie? — spytała z wielką żywością.

— Kilka razy, ale minęło szczęśliwie.

— Czy w drukarni?

— Nie. Raz gdym niósł „Wolność“, dwa razy, gdym rozlepiał odezwy. A wiecie, esdeki jadą również odezwami do młodzieży, aby żądała wykładu religii i języka polskiego po polsku. Zaczyna wrzeć u nas jak w kotle parowym, a że przeciwnik nie puszcza pary, może być wcześniej eksplozya, aniżeli przypuszczamy wszyscy.

— Bolku! czy to możliwe! Bolku, czy to prawda! — zawołała uradowana i aż przystanęła na chodniku.

— Chodźcie, po co stawać? i też radować się niema z czego tak bardzo.

— I wy, Bolku, mówicie to tak zimno?!

— Bo zważcie tylko... jeśli ruszą się robotnicy, a narodu nie porwą za sobą zaraz w pierwszej chwili, to taką próbę srodze odpokutujemy. Dzisiaj nie zwycięży partyzantka i najlepiej zorganizowana, ale masa. tłum kroczowy, milionowy.

— Więc kiedy, kiedy to będzie?

— Przyjdzie czas. Zbierzemy się na posiedzenie i zdecydujemy kierunek.

— A wy Bolku, co myślicie?

— Musimy wpierw krajowi udowodnić, że jesteśmy siłą, że z nami rząd musi się liczyć... wówczas nam uwierzą i podadzą rękę pomocną.

— Czy będę wiedziała o uchwale waszej?

— Nie robimy tajemnicy pomiędzy sobą... A nie zdradźcie się okrzykiem lub miną, gdy spotkacie Pawła.

— Jakto, jest tu?! On skazany przecież na Sybir i uciekł.

— I przyjechał tutaj — uśmiechnął się — tak samo Cypryański skazany, a jest tu, gdy trzeba.. No, bywajcie zdrowi, idę już, a bądźcie pojutrze w drukarni.... Nie zapomnieliście składania?

— Przypomnę sobie.

Żalecki pośpieszał do domu, gdyż dzisiaj miało się odbyć posiedzenie.

W bramie kamienicy spotkał się z idącą również do swego mieszkania sąsiadką z drugiego piętra. Była to ładna, wesoła dziewczyna, ubrana z przesadną trochę elegancyą, w szeleszczących jedwabiach, a widząc Żaleckiego, zawołała wesoło:

— Dobry wieczór, sąsiedzie — podając małą, urękawicznioną rękę.

— Dobry wieczór. Gdzież panna Olesia była?

— Na spacerze, aby się odświeżyć... Ale sąsiad nie łaskaw na mnie — spojrzała błyszczącemi, czarnemi oczyma — prosiłam i pan nie przyszedł.

— Rzecz bazdzo prosta, gdy ja mam czas, pani zajęta i odwrotnie.

— Więc umówmy się... Czy dziś ma pan wolny wieczór?

— Zajęty, ale znajdę wolną chwilę może jutro...

— Nie, jutro nie mogę... Czy spotkał znów pana on... rotmistrz?

— Dotychczas tylko dwa razy... na schodach.

— Mój złoty panie, gdyby pan mnie z nim spotkał, niech się pan nie kłania, pan uda, że mnie nie zna.

— Dobrze pani, przyjdzie to mi łatwo, bo znamy się tylko ze schodów wspólnych — zaśmiał się, idąc z nią na wyższe piętro.

— Nie moja wina — uśmiechnęła się zalotnie — i tak samo, póki ja do pana nie zagadam na ulicy, niech się pan nie zbliża..... bo to człowiek strasznie zazdrosny i mściwy; zapowiedział mi, że zgniję w więzieniu, jeżeli go zdradzę, a on, panie, jest żandarmem, rotmistrzem i ma władzę.

— Znam go, proszę pani... nie taki on straszny, i na miejscu pani umyślnie zdradzał bym go, bo i co to za miłość pod przymusem?

— Ej, ktoby tego Bolcewa kochał — zaśmiała się lekceważąco — żyję z nim, bo muszę, a wie pan, on nastawił na mnie szpiega, taka podłość, i sam się tem chwalił.

Weszli na drugie piętro, i ona, wyjmując z torebki klucz od zatrzasku:

— A może pan wstąpi na chwilę?

— Czekam gości... ale przypomnę się pani, gdy będę swobodny.

— Pamiętaj pan... ale daj pan znać przez służącą moją, przez schody kuchenne.

— Wiem... dobrej nocy.

— Do widzenia — uścisnęła mu rękę.

— Także znajomość -- uśmiechnął się lekceważąco, ale kto wie, może się i przyda, a może Bolcew przynosi ze sobą swą tajemniczą teczkę? Trzeba się wywiedzieć a może się uda!?

Wszedł do ,swego mieszkania na czwartem piętrze, zapalił lampę w przedpokoju, i wziąwszy ją do ręki, szedł dalej.

Pierwszy pokój, dość obszerny, miał dwa okna frontowe. Prócz dwóch szaf, wielkiego, okrągłego stołu i tuzina krzeseł, nie było innych mebli. Z tego pokoju były drzwi, wprost okien frontowych, do małej sypialni, a następnie dosyć głęboki pokój jadalny z balkonem od podwórza. Za jadalnym była obserna kuchnia, z wyjściem na schody boczne.

Zasłoniwszy okna szczelnie ciemnemi storami, zapalił lampy w trzech pokojach, i odnosił lampkę do przedpokoju, gdy rozległ się trzykrotny dzwonek.

Pierwszym gościem był Komar, jak zwykle wyświeżony i uśmiechnięty. Spacerując po pokojach, rozmawiali o nowinach dnia, nagle Komar przerwał opowiadanie i spytał:

— Cóż Buczku, sprawdziliście wytrzymałość gzymsu przy waszych frontowych oknach? Można dostać się z niego na dach?

— Co prawda, sam nie próbowałem — uśmiechnął się — to niebezpieczny eksperyment, ale koty chodzą po gzymsie, jest dość szeroki, a rura deszczowa oddalona o jakie dwa kroki.

— Czy rura pewna? Wytrzyma wagę?

— Będę jutro na dachu, sprawdzę.

— Dobrze jednak zrobicie, gdy od rury przerzucicie sznur do waszego okna, bo stać na gzymsie bez punktu oparcia, dyablo trudno.

— Sądzę, towarzyszu, że wasze obawy są przesadne. Prowadzę się jak filister, co może stróż, towarzysz nasz, poświadczyć, unikam ulicznych awantur, dlaczegoż mają mnie aresztować?

— Chociażby przez ciekawość, co wy robicie u siebie? — zaśmiał się Komar — zresztą wy jesteście dziś zbyt poważną siłą, aby było wam wolno narażać się. Jesteście archiwistą, główną kasą, wydawcą. redaktorem, drukarzem i bardzo dzielnym organizatorem, wystarczyłby jeden tytuł, abyście się szanowali i nie narażali.

— No, i ja nie myślę marnować czasu w cytadeli.

Zabrzmiał umówiony dzwonek, i kolejno, to frontowemi schodami, to przez kuchnię, przyszli: Kozak, Paweł, Panna, Sikora i Skała.

Usiedli za stołem, a Kozak przyciszając swój gruby głos:

— Klęski Rosyan, a zwłaszcza ta ostatnia z 4 go września pod Laojanem wzmogły nasze nadzieje, a w Petersburgu gorycz i żal do rządu. że krew i złodziejstwa ułatwiły agitacyę socyalistyczną. Mamy wezwanie, aby już zacząć robotę, gdyż i oni chcą poruszyć i zachęcić masy. Sprawa to bardzo ważna, idzie o życie ludzi, bo nie ulega wątpliwości, że wojsko użyje broni i krew się poleje.

Zabrzmiał znów dzwonek i do pokoju wszedł nowy brunet, szczupły, wysoki, skłonił się dość niezgrabnie i usiadł.

— Jest naszym obowiązkiem oszczędzać krwi — ciągnął dalej Kozak — a jeśli płynie, niechże będzie posiewem przyszłości.

Wśród chwilowego milczenia rzekł Paweł, kręcąc swą przyciętą brodę:

— Mojem zdaniem, dziś nadeszła pora wystąpienia jawnego, trzeba wciągnąć lud bierny w nasze kadry organizacyjne. Zacznijmy od manifestacyi, niech czerwony sztandar, widomy znak naszej potęgi i hasła, wzniesie się w górę, niech prowadzi lud do boju! Gdy wojsko zacznie strzelać, bić nahajkami i kolbami, wzrośnie nienawiść i wzburzeni, rozgoryczeni, znajdą jedyne oparcie tylko w naszej partyi... To pierwszy skutek.

Następnie, manifestacya oswoi ludzi z rewolucyą, z możnością stawienia się ostro rządowi, i sam rząd przekona się, że dotychczasowy system właśnie tylko przyczynia się do wybuchu. Wreszcie manifestacya będzie wyrazem żądania reform, zmian, wolności. Jestem więc za urządzeniem manifestacyi. Niema czego czekać, zwlekać, bo po tych klęskach rząd zachwiał zaufaniem nawet najwierniejszych, a naszem zadaniem nie dać ustać temu chwianiu się.

— Jestem również za urządzeniem manifestacyi — odezwał się Komar — niech powiewa nasz sztandar! Niech zabrzmi nasza pieśń rewolucyjna... ale zanim rzucimy w tę grę tysiące... wpierw należy wybadać nastrój ludności, wymiarkować czy połączy się z nami, czy nasze hasła znajdą odzew. Więc mojem zdaniem, zróbmy próbę. Czas i miejsce oznaczymy w przeddzień manifestacyi, główna rzecz, aby się zdecydować, czy już rozpocząć działanie zewnętrzne czy czekać.

Towarzysz Panna, cały zaczerwieniony, wstał z miejsca:

— Nie słów, lecz czynów nam trzeba! Dosyć już wahań, przygotowawczych czynności, dosyć tajenia się i chowania w kryjówkach. Niech słońce zobaczy nasz czyn. Z krwi wstaną mściciele, wiem że zginie wielu i zapewne ja z nimi, ale każdy strzał odezwie się tysiącznem echem w całej Polsce i gdzie trzeba dziesiątek lat pracy, jedna salwa zrobi w jeden dzień.

Wśród ciszy zaczął Żalecki tonem spokojnym. patrząc wprost na obecnych:

— Towarzysze... historya uczy, że fakta nie powtarzają się ściśle, lecz albo się rozwijają, jeśli są dodatnie, albo zmniejszają się w razie ujemnego działania. Otóż nasza historya obfituje w manifestacye i każdy z nas zna je dobrze. Czyż do tej liczby manifestacyi mamy przyłączyć i naszą? Wyjdziemy ze śpiewem, ze sztandarami, rozpędzą nas, potłuką i zostanie wspomnienie tylko. Jestem przeciwny manifestacyi, a jeśli ma już być, niech będzie jak największą, zmobilizujmy wszystkie siły; mamy pięć tysięcy związkowych, z ich przyjaciółmi, żonami, krewnymi, będzie dwadzieścia pięć tysięcy. Niechże ta masa spłynie w jedno oznaczone miejsce, z rewolucyjnym śpiewem, ze sztandarem i niech zaświadczy przed narodem i światem, że położy życie dla wolności.

— I otoczą nas, wyłapią, wyślą gdzieś w głąb Rosyi i zaczynaj od początku na nowo — przerwał mówcy Komar.

— Każda idea żyje i rośnie ofiarami, mógłbym wam odpowiedzieć — mówił Żalecki — ale nie o słowa idzie. Manifestacya wielka może zrobić wrażenie, może pociągnąć biernych, ale musi mieć siłę, musi imponować rozmiarami... i nie możemy pozwolić, aby nas bezkarnie bito i mordowano. Idźmy spokojnie, poważnie, lecz gdy wojsko da salwę, mamy bomby, ręczne granaty, rewolwery. Taka manifestacya może ich przerazić, a naród natchnąć zaufaniem do nas... ale drobne manifestacye zgasi rząd jak świecę i zostanie tylko swąd. Do wielkiej manifestacyi jesteśmy za słabi, więc nie róbmy żadnej.

— Towarzysze! — zawołał brunet młody, który przyszedł ostatni — jestem robotnikiem, znam usposobienie ich, znam ich duszę. Oni się niecierpliwią, rwą się do czynu, pragną ofiar i poświęceń. Zwłoka sprowadzi nieszczęście, bo mogą się zacząć wybuchy w poszczególnych fabrykach, tych złapią, uwiężą i duch upadnie.

Manifestacya, o której mówił towarzysz Buczek, byłaby bardzo dobrą, ale ile czasu upłynie, zanim zdołamy sprowadzić bomby, granaty, rewolwery, a tymczasem minie chwila odpowiednia, zniechęcą się robotnicy i zaczną działać na własną rękę, a na to nie możemy pozwolić, bo to będzie zgubą partyi. Bywają chwile we walce, że lekkie potrącenie wystarczy na obalenie przeciwnika i manifestacya może być takiem właśnie potrąceniem.

— Prawda! — mruknięto.

— Manifestujmy! — rzekł Sikora.

— Zdaje mi się — odezwał się Kozak, kręcąc wąs szpakowaty — że towarzysz Buczek nie skończył swej myśli — spojrzał z zapytaniem.

— Istotnie, towarzysze, mam jeszcze do powiedzenia kilka słów. Jestem przeciwnikiem manifestacyi, ale gdy uchwalicie, że potrzebna — pójdę z wami w szeregu.

— Więc waszem zdaniem — zaśmiał się Paweł szyderczo — mamy czekać, póki rząd nie ochłonie po klęskach wojennych, póki armia nie wróci do Europy?

— Nie, towarzyszu Pawle — odrzekł Żalecki — ja jestem za manifestacyą, ale inną. Bez śpiewów, sztandarów, bez pompy ulicznej. Nie pięć tysięcy, ale niech sto tysięcy robotników powstanie w jednym dniu na nasze hasło! Całe życie współczesne opiera się na pracy robotników; nagle w jednej chwili ta arterya, która wprowadza życie w organizm społeczny, przestaje funkcyonować i cały organizm słabnie, chwieje się, pada jak podcięty kosą. W takiej chwili zrozumie całe społeczeństwo, rząd, wszyscy, że my robotnicy, jesteśmy życiodajną siłą, że bez nas padnie wszystko w gruzy. Zabraknie chleba, wody, światła, sklepów, dorożek, tramwajów, ustanie ruch, zawieszone życie... to będzie objawem naszej siły, potęgi, znaczenia. Więc nie marnujmy sił na manifestacye, nie rozpraszajmy zapału, nie traćmy energii, ale organizujmy wytrwale, gromadźmy bojowników, aby świt wolności zastał nas gotowymi do przyjęcia słońca.

W czasie przemówienia tego rozjaśniły się twarze wszystkich, błyszczały oczy, widać było zapał, niektórzy uśmiechali się radośnie, a gdy skończył, zawołał Kozak:

— Wasz plan jest wspaniały, przyjmujemy go, towarzysze?

— Tak jest!.. Naturalnie!

— Jednym zamachem, jednem wstrząśnieniem przerwać to zgniłe życie burżuazyjne, to walka godna nas, robotników wyzyskiwanych i pogardzanych! — wołał rozpromieniony Komar — zatem do pracy! Do organizacyi!

Po sprawdzeniu kasy, odczytaniu wiadomości z prowincyi, po szczegółowych wskazówkach, kto i jak ma uwiadomić dziesiątki o manifestacyi, już mieli się rozchodzić, gdy rzekł Kozak:

— Towarzyszu Buczku, czy tu czujecie się bezpiecznym?

— Takie mam wrażenie — uśmiechnął się Żalecki.

— To dobrze. Przyślę wam ważne papiery, ukryjcie tu, bo są mi potrzebne często, np. w tej szafie — wskazał — na drugiej półce. Obawiam się rewizyi w tych dniach.

— I ja wam przyślę wykaz składek i stan kasy — żawołał Skała — bo w biurze mojem była wczoraj rewizya u kolegi, może znajdą jaki mój szpargał i wezmą się do mnie.

— Dobrze, towarzysze... przysyłajcie.

— A nie zapominajcie, Buczku, — ostrzegał Kozak — że moje papiery, to życia setek ludzi... i w razie rewizyi muszą być zniszczone.

— Dopilnuję... Gdyby mnie złapano, jestem dla nich zawsze Janem Pastą z Celnej.

— Wiemy — mruknęli z uśmiechem.

W kilka dni później wszedł Żalecki chmurny do drukarni, w której pracowali Olga i Walczak.

— Cóż wam się stało? — spojrzała na niego Olga zaniepokojona.

— Wczorajszej nocy aresztowano Sikorę.

— Nie wiecie za co?... Znaleźli co?

— Wpadli w nocy, przetrzęśli mieszkanie, papiery zabrano bez czytania i jego powlekli do więzienia.

— Byle nie miał u siebie którego skryptu z naszej drukarni — odezwała się Olga — bo byłby zgubiony.

— Wątpię bardzo... To ostrożny ptak. Przypuszczam, że ktoś zdradził, iż agituje za fachową organizacyą, a że teraz wystarczy byle pozór, wzięto go.

— A nie wiesz gdzie siedzi?

— Na razie na Pawiaku... i przy protekcyi możnaby go uwolnić, a on bardzo nam potrzebny. Mamy huk roboty i bez niego nie wydążymy na czas.

Zajęli się robotą, a wśród milczenia spytała Olga:

— Czy sądzicie, Bolku, że rotmistrz mógłby go uwolnić?

— Gdyby tylko zechciał, dziś byłby wolny.

— Spróbuję... może się uda.

— Hm... obmyślicie sposób?

— Będzie krewnym naszej służącej, ona jest mi wierną... i poproszę Bolcewa.

— Kiedy?

— Wiem, że dziś będzie u ciotki, gdybym mogła wyjść wcześnie, zastałabym go jeszcze.

— I na to jest sposób — uśmiechnął się Bolek — idźcie, im wcześniej, tem lepiej.

Podszedł do okienka i jedną szybkę z krat stłukł z hałasem.

— Tylko ostrożnie Olgo, bez zbytecznego nacisku — upominał — a nie zróbcie przypadkiem aluzyi, co do tej dziewczyny Olesi, chociażby lekkim żartem, bo domyśli się, że ja wam powiedziałem.

Olga poczerwieniała i zaczęła się gorączkowo ubierać.



...„Pierwszym gościem był Komar, jak zwykle wyświeżony i uśmiechnięty....

— Czy już powiedzieliście? — zaśmiał się Walczak.

— Nie jemu... lecz ciotce, i tak się boję.

— Ciotki waszej nie znam... nie będzie mnie podejrzywał, ale innych.

Posłyszeli otwieranie kłódki, Bolek odsunął sztaby wewnętrzne i Olga wyszła.

Bolcew był już w salonie, więc Olga najpierw zawołała Sabinki do swego pokoju:

— Moja Sabinko, pomóż mi uratować jednego człowieka. Zamknęli go żandarmi i chcę poprosić rotmistrza, aby go puścił. Otóż ty zwróciłaś się z prośbą do mnie, bo ten aresztowany jest twoim krewnym, np. szwagrem, albo wujem, albo ojcem chrzestnym.

— Dobrze panienko... tylko niech nie będzie z mojej familii, bo gdyby się co wykryło na nim, zaczęliby nas nękać i rewidować... Niech już będzie ojcem chrzestnym, i jeśli ma dzieci, to ojcem mojej przyjaciółki... a jak się nazywa?

Podeszła do biurka i wyszukawszy:

— Filip Kikolski... ma córkę w twoim wieku, znam ją, nazywa się Stasia.

— No i dobrze się składa. On, ten Filip Kikolski jest ojcem przyjaciółki Stasi i moim chrzestnym.

Olga wchodząc do salonu, posłyszała, jak rotmistrz położywszy rękę na piersi, upewniał:

— Może pani wierzyć memu słowu oficera, że jest to plotka niegodna.

Olga lekko pobladła i przywitawszy się, usiadła, mówiąc z uśmiechem:

— Śpieszyłam do domu, chcąc zastać u nas pana rotmistrza.

— Prawdziwy to dla mnie zaszczyt — skłonił się uradowany — i właśnie przyszła pani w chwili pożądanej dla mnie. Ciocia powiedziała mi, że słyszała pani, jakobym się bałamucił z niegodną kobietą... to kłamstwo, to kalumnia, tylko człowiek zazdrosny i podły mógł mnie tak poniżyć w oczach pani — kończył ze szczerem oburzeniem i gniewem.

Olga poczuła zimno i już w myśli widziała, jak zawzięcie mści się on na Bolku. Z wysiłkiem uśmiechnęła się i rzekła:

— I ja uważam to za plotkę... Nic dziwnego zresztą, bo słyszałam o tem z ust służby... a ta zawsze bawi się plotkami.

— Służby? — zdziwiła się ciotka.

— Widocznie ciocia zapomniała — uśmiechnęła się — opowiadałam przecież, że w przedpokoju u pułkownika Małygina słyszałam rozmawiających żołnierzy, deńszczyków.

— Prawda Oldziu... tak, teraz przypominam sobie dokładnie.

Rotmistrz spojrzał szybko z pod oka na jedną, na drugą, i pomyślał: chce mnie w błąd wprowadzić... to nie służba Małygina... Ale rozpogodziwszy twarz, mówił:

— Cieszy mnie nadzwyczajnie, że sama pani uznaje bezzasadność plotki. My mamy dużo niechętnych, i ci, gdzie mogą, to nam usiłują szkodzić.

— Nie może się pan uskarżać — uśmiechnęła się pani — my nie uwierzyłyśmy plotkom, i odpłacaj pan nam, kobietom, tą samą miarą zaufania.

— Nie mam sposobności, bo nigdy nie słucham ludzkiej obmowy i nigdy nie podejrzywam... zwłaszcza panie.

— Gdzież ty Oldziu byłaś?

— W interesie Sabinki, cieciu... Chodziłam przekonać się, czy istotnie mówi prawdę...

— Cóż to za historya? — zdziwiła się — i co może cię obchodzić Sabinka... nasza młodsza — objaśniła gościa.

— Zauważyłam cieciu, że Sabinka smutna i popłakuje po kątach. Dowiedziałam się, że jej ojca chrzestnego i zarazem ojca jej przyjaciółki aresztowano. Poszłam sprawdzić na miejsce. Istotnie żona i czworo dzieci zostały bez chleba... to bardzo smutne — westchnęła.

— I za co go aresztowano? — dopytywała się pani — ukradł? ręknął?

— O ile mi mówiono, to pańscy żandarmi — zwróciła się do Bolcewa — aresztowali go, niewiadomo za co?

— Żandarmi? — zawołał zdziwiony — hm... to pewnie sprawa polityczna... dowiem się... czy pani zależy na nim?

— Na nim nic mi nie zależy... ale Sabinka zaczęła mnie usilnie błagać i prosić, ażebym się zwróciła do pana.

— O, sprytna! Wybrała sobie dobrą protekcyę — zaśmiała się pani.

— A nazwisko aresztowanego?

— Filip Kikolski, zecer.

Bolcew rozważał jak ma postąpić? Czy zająć się tą sprawą, czy zbyć ogólnikiem?

Spojrzał na Olgę i zauważył, że z niepokojem patrzy na niego... A może tą drogą zyska jej względy? Wstał i rzekł:

— Pozwolą panie, że na chwilę pójdę do telefonu... dobrze?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kto będzie dyrektorem teatru lwowskiego?

Nasz dowcipny „plotkarz“ lwowski swoim zwyczajem obrócił już w żarty w poprzednim numerze sprawę ofert, wniesionych do Rady miejskiej na dzierżawę teatru we Lwowie. My zaś podając dziś Czytelnikom podobizny kandydatów na dyrektora jednej z dwóch scen stołecznych naszego kraju, musimy dorzucić jeszcze słówko seryo w tej sprawie, mianowicie cyfr nieco przytoczyć, jakie na jaw wyszły po otwarciu czterech ofert. Największe zaciekawienie budząca oferta anonimowego towarzystwa, przez kancelaryę adwokata dra Kamieńskiego wniesiona, nie podaje bliższych szczegółów i dopiero magistrat po pertraktacyach z tym adwokatem, wyświetli jej tajemniczość. Druga oferta jest już jasną i odpowiada warunkom konkursu. Wniósł ją były dyrektor lwowskiej sceny, znany dobrze w Galicyi i w Królestwie, p. Ludwik Hel-



Kto będzie dyrektorem teatru lwowskiego: Jeden z kandydatów, Władysław Floryański, śpiewak operowy.

ler, który swoją kandydaturę opiera w głównych zarysach na warunkach kontraktu gminy z dzisiejszą dyrekcyą, a nadto przyjmuje jeszcze na siebie opłacanie asekuracyi i kosztów konserwacyi oraz utrzymania czystości w gmachu teatralnym obok 5% podatku realnościowego. Wreszcie obowiązuje się uzupełnić inwentarz kosztem 25.000 koron rocznie i stworzyć stałą szkołę dramatyczną i dla chórów; przyrzeka też stale urządzać sobotnie przedstawienia popołudniowe dla młodzieży. Trzecią ofertę, zapewniającą miastu 24.200 koron rocznie, a więc o 5.000 więcej, niż daje p. Heller, wniósł p. Władysław Floryański, znakomity śpiewak operowy, którego głosem zachwycano się tylokrotnie we wszystkich większych miastach polskich, a który podbijał i obcych, w szczególności przez szereg lat w Pradze czeskiej. Czwarta i ostatnia oferta pochodzi z Warszawy i prawie w niczem nie różni się od dzisiejszego kontraktu; wniósł ją p. Stanisław Bogucki, artysta tamtejszego teatru „Nowości“, a ulubieniec publiczności, jako śpiewak operetkowy, znany dawniej dobrze we Lwowie i w Krakowie. Za nim stoi teść jego p. Wincenty Rapacki (ojciec) z „Rozmaitości“ warszawskich, jak wiadomo — pierwszy polski aktor ze starej gwardyi.

Kto z pośród powyższych kandydatów zostanie następcą dyrektora Pawlikowskiego w teatrze lwowskim — dowiemy się niebawem. Na razie wiadomo tylko tyle, że p. Tadeusz Pawlikowski usuwa się już stanowczo ze Lwowa.

Wincenty Rapacki.

Nazwisko dobrze i dawno znane i zasłużone w sztuce i literaturze, przypomniało się znowu żywiej w chwili obecnej niesłabnącem od kilku tygodni w Warszawie powodzeniem sztuki „Bogusławski i jego scena“, której illustracyę podaliśmy niedawno.

Rapackiego jako artystę scenicznego zna i ceni nietylko Warszawa z tylu świetnych jego kreacyj, ale tak samo wszystkie miasta polskie, gdzie od lat tylu niejednokrotnie gościnnie występuje.

Rapackiego jako autora „Wita Stwosza“ i tylu innych sztuk, zapisały również z uznaniem sceny polskie, a tak samo i literatura zawdzięcza mu długi szereg prac interesujących, których ostatniem ogniwem są „Pamiętniki aktora“, świeżo teraz wydane, stanowiące cenny materyał do dziejów teatrów polskich z drugiej połowy XIX wieku.



Kto będzie dyrektorem teatru lwowskiego: Jeden z kandydatów, Ludwik Heller, były dyrektor sceny lwowskiej.

Lecz przybywa nam oto trzeci powód do umieszczenia portretu zasłużonego aktora i autora, a to ze względu na możliwość trzeciego jeszcze tytułu: „dyrektora“, o który właśnie postanowił ubiegać się Rapacki, złożywszy ofertę na dzierżawę teatru lwowskiego do spółki ze Stanisławem Boguckim, artystą teatru „Nowości“. Nie przesądzając ostatecznego wyniku współubiegania się o teatr lwowski kilku kompetentów, zaznaczyć należy, że zasługi artystyczne i literackie Rapackiego i dawno i najzupełniej upoważniają go do sięgnięcia o laskę marszałkowską sceny i sztuki, do której należy życiem całem, sercem całem. Kandydatura ta, dla sceny lwowskiej bądź co bądź zaszczytna, świadczy sama przez się najpochlebniej o wielkiem umiłowaniu Rapackiego dla teatru, skoro po tylu latach pracy nie waha się jeszcze podjąć zadania najcięższego: hetmaństwa sceny. *B-t*



Wincenty Rapacki: Jeden z kandydatów na dyrektora teatru lwowskiego, Wincenty Rapacki (ojciec), znakomity artysta sceny warszawskiej i dramaturg, autor świeżo wydanych „Pamiętników aktora“.

Studenci rosyjscy — przyjaciele Polaków.

Dążność ku unarodowieniu szkół publicznych w Królestwie Polskiem, wyprzedzając wszystkie inne ruchy społeczne i przejawy polityczne, spotykała się początkowo jeśli nie z nieprzyjaźnią, to w każdym razie co najmniej z obojętnością wśród uczącej się młodzieży rosyjskiej.

Było to tem dziwniejsze, że niejednokrotnie i dawniej studenci warszawscy występowali w obronie przynależnych im praw solidarnie, Polacy z Rosyanami, i że między temi sferami narodowościowemi istniał stosunek wzajemności, oparty na poszanowaniu, na wspólnych ideach liberalnych, na jednakiem poczuciu się w swych prawach obywateli akademickich.

Daleko jednak stąd było do zainteresowania się sprawą unarodowienia szkół polskich w Królestwie.



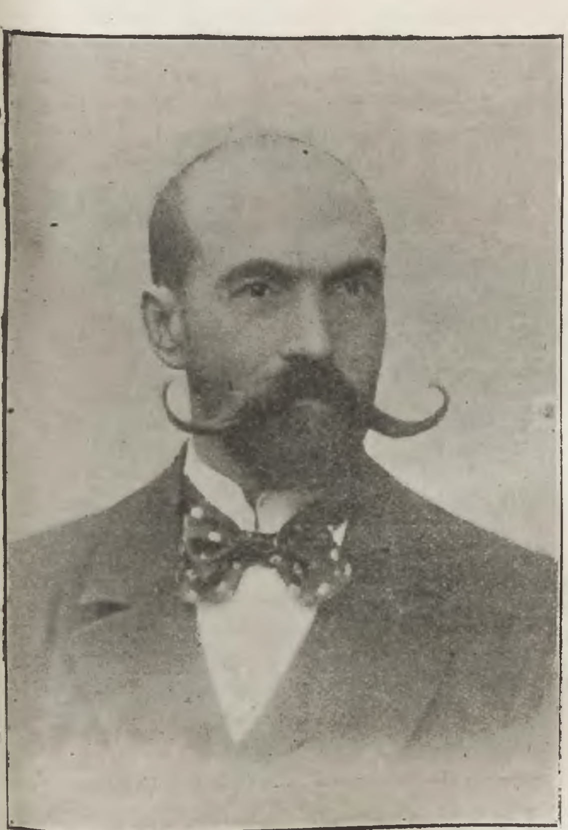
Kto będzie dyrektorem teatru lwowskiego: Jeden z kandydatów, Stanisław Bogucki, śpiewak operowy, artysta teatru „Nowości“ w Warszawie.

To też młodzież akademicka polska, która w głównej mierze zapoczątkowała ruch unarodowienia szkół polskich, nie liczyła na sympatyę dla niego wśród kolegów Rosyan, ani na ich współdziałanie lub pomoc, domyślając się również, iż jeszcze mniej spodziewać się może oddźwięku dla sprawy wśród gron profesorskich uniwersytetu i politechniki warszawskiej.

Były niezawodnie i wśród rosyjskiej młodzieży szlachetnie czujące i politycznie bardziej wyrobione jednostki, przychylnie odnoszące się do samej zasady, nauki w języku ojczystym. Niemniej uznanie tej zasady stwarzało konsekwencyę mniej pożądaną dla młodzieży rosyjskiej, gdyż skazywało wszystkich nieznających języka polskiego na dobrowolną emigracyę z Warszawy na uniwersytety rosyjskie w cesarstwie.

Wyglądało to przed rokiem jeszcze na utopię, kiedy pierwszy wiec rodziców w sprawie szkolnej wypowiedział się szczerze i otwarcie wobec kuratora okręgu naukowego, w sprawie unarodowienia szkół, kiedy od tej chwili młodzieży polskiej zabrakło w średnich szkołach rosyjskich, w uniwersytecie i politechnice. Akcya raz rozpoczęta, poparta przez społeczeństwo polskie była odtąd konsekwentną, usilną i ciągłą tak, że sama przez się oddziałać musiała i na młodzież rosyjską i na sfery nauczycielskie. I tu i tam zyskiwały zwolenników i przyjaciół słuszne żądania polskie. Na wiecach młodzieży akademickiej rosyjskiej toczyły się dyskusye, zapadały uchwały w duchu coraz przyjaźniejszym dla Polaków, nieodosobnione od takiejże samej opinii części profesorów z prof. Wulfem na czele.

Słuszne ustępstwa rządu na rzecz prywatnych szkół średnich polskich, liczne ich otwarcie, musowe przerzucenie się do nich młodzieży polskiej, wreszcie i pewne dodatnie dążenia grona profesorów uniwersytetu i politechniki ku częściowemu uwzględnieniu żądań polskich a nadewszystko kon-



Ofiara wybuchu bomby: Urzędnik notaryalny, Antoni Staniewski, który stracił obie nogi skutkiem wybuchu bomby na ulicy Miodowej w Warszawie.

sekwencya i wytrwałość samego społeczeństwa polskiego, odbiły się echem gorącego współczucia wśród młodzieży uniwersyteckiej rosyjskiej. Zapadłe na wiecach uchwały wyrażały szczerą sympatyę dla narodowego polskiego szkolnictwa, uznanie dla słuszności sprawy, a zarazem postanawiały, by uczniowie Rosyanie, raczej przenosili się na uniwersytety rosyjskie w cesarstwie, a nie zostawali w Warszawie, gdzie pomódz nie mogąc, tem samem już swą obecnością utrudniać i opóźniać będą Polakom uzyskanie ich praw.

W imię tych uchwał posypały się do rektoratu uniwersytetu warszawskiego liczne podania studentów o przeniesienie ich na inne uniwersytety, a akcyę tę słowem i przykładem popierały liczne grupy szlachetnie myślących studentów Rosyan, życzliwie i przyjaźnie usposobionych dla słusznej sprawy polskiej.

Illustracya nasza przedstawia jedną z grup rosyjskich studentów, zasługujących na wzajemne uznanie i przyjazną pamięć społeczeństwa polskiego. Są to związani jedną myślą studenci: Puginow, Wasicz, Mogilnickij, Minin, Jezierskij, Woskresienskij, Soroczan i Marczenko. *B-t.*

Ofiara wybuchu bomby.

Nie prędko przeminą echa wstrząsających wypadków z roku ubiegłego i tych licznych wybuchów bomb, których ofiary, choć przy życiu pozostałe, dziś jeszcze zalegają szpitale Warszawy.

Jedną z takich w czasie straszliwego wybuchu bomby w lipcu z. r. przy ul. Miodowej, padł przypadkowo przechodzący tamtędy urzędnik kancelaryi notaryalnej, pan Antoni Staniewski, którego podobiznę tu zamieszczamy.

Ogłuszony hukiem, runął wówczas bez przytomności. Zabrała go karetka pogotowia, zaopatrzywszy na prędce straszliwe rany obu poszarpanych na strzępy nóg.

Przeszło pół roku leżał ciężko ranny w szpitalu, aż wreszcie, dzięki wysiłkom i zabiegom lekarzy, po niezliczonych godzinach straszliwych cierpień podniósł się z łoża boleści i wrócił do domu, do swej rodziny — o kulach.

O kulach też podjął napowrót swe dawne obowiązki, choć ze zniszczonem zdrowiem, choć z wyczerpanemi siłami.

Ofiarę wybuchy otacza powszechne współczucie, i sympatya, której wyrazem niechaj będzie choć tych kilka słów życzliwego wspomnienia. *B t.*

Pchła dyplomatyczna.

Na załączonej illustracyi przedstawiamy Czytelnikom osobliwy okaz pchły z rodziny pruskiej, a z gatunku dyplomatów. Pchła ta w postaci eleganckiego pana, nosi dziś nazwisko Tschirschky



Pchła dyplomatyczna: Nowomianowany pruski sekretarz stanu, Henryk von Tschirschky, niegdyś Czerski.

(ostrożnie z wymawianiem, żeby sobie języka nie wyłamać!), a mogłaby się nazywać po prostu: Czerski — gdyby wśród przodków nie miała renegatów.

Mówimy tu o przezwanym dowcipnie przez pewnego wybitnego publicystę „pchłą dyplomatyczną“, nowomianowanym pruskim sekretarzu stanu u boku Bülowa; został nim Henryk Leonard Tschirschky-Bögendorf, który jest z rodu Sasem, synem długoletniego dyrektora generalnego saskich kolei państwowych, z pochodzenia zaś niewątpliwie Po-



Fot. Cz. Kulewski w Warszawie.

Studenci rosyjscy — przyjaciele Polaków: Grupa Rosyan, studentów uniwersytetu warszawskiego, życzliwie usposobionych dla sprawy unarodowienia szkól w Król. Polskiem.



Jubileusz kapelmistrza Hocka: Świeżo odznaczony medalem honorowym za 40-letnią służbę wojskową, kapelmistrz-jubilat 13 p. p. w Krakowie, Jan Nepomucen Hock.

lakiem, ze szlacheckiej, zniemczonej dziś rodziny Czerskich, których polska dotąd linia ma licznych przedstawicieli w Królestwie Polskiem. Sprusaczony Tschirschky, wszelkiej polskości wypierający się teraz i nienawidzący nas całą duszą, urodził się w r. 1858 w Hosterwitz. Ukończywszy studya prawne, wstąpił do sądownictwa saskiego, lecz rychło przeszedł do służby dyplomatycznej Rzeszy niemieckiej. Z początku bawił w Wiedniu, to w Konstantynopolu, poczem przez kilka lat był radcą niemieckiej ambasady w Petersburgu, gdy na jej czele stał książę Radolin (również regenat z Radolińskich). Pierwsze samodzielne stanowisko dostał w r. 1900 jako minister-rezydent w Luksemburgu, w dwa lata zaś później awansował na posła pruskiego w Hamburgu. Obecnie objął po Richthoffenie, jako niemiecki sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, jeden z najważniejszych w państwie posterunków. Koledzy go nie lubią, ale mu wszyscy przyznają dużo rozumu i jeszcze więcej sprytu i przebiegłości.

Jubileusz kapelmistrza Hocka.

Kapelmistrz 13 pułku piechoty w Krakowie, p. Hock, otrzymał w tym roku medal honorowy za czterdziestoletnią służbę. Korpus oficerski uczcił jubileusz zasłużonego kapelmistrza ucztą, która się odbyła w kasynie oficerskiem. P. Hockowi ofiarowano kosztowny serwis srebrny ze stosownym napisem, a małżonce jego wspaniały bukiet.

Jubileusz p. Hocka nie jest jednak wyłącznie uroczystością wojskową. Znakomity kapelmistrz jest bowiem postacią, która w całym Krakowie cieszy się niezwykłą sympatyą i uznaniem i to nietylko jako kapelmistrz, ale również jako człowiek i obywatel. Skromny, nie narzucający się, uprzejmy, śpieszy p. Hock zawsze na estradę koncertową czy to jako solista, czy z batutą kapelmistrzowską w ręku, jeżeli idzie o cel dobroczynny, czy o przysłużenie się towarzystwom muzycznym i śpiewaczym. Krakowianie znają doskonale tę postać wysoką, szczupłą, z ruchliwemi małemi oczyma, w których się przebija jakby jakieś dziwne rozmarzenie, pełne tkliwości i miękkości. Samo nazwisko Hocka na afiszach koncertowych jest już dostatecznym pewnikiem, że sala koncertowa wypełni się po brzegi. Zamieszczając więc w dzisiejszym numerze fotografię i sylwetkę znakomitego muzyka, sądzimy, że odpowiemy życzeniom wszystkich Krakowian, którzy p. Hocka prawdziwie i szczerze cenią i kochają.

Jan Nepomucen Hock urodził się w roku 1850 w Budapeszcie. Studya muzyczne odbywał pod kierunkiem Czekego, Karola Hubera, Smetany, Webera Dessowa i Donta. Koncertował z początku jako skrzypek i w krótkim czasie zyskał sobie powszechne uznanie. Bo też jako skrzypek jest p. Hock siłą pierwszorzędną. Zaletą jego gry jest nadzwyczajna czystość tonu, bajeczna technika i zrozumienie przewodniej myśli utworu. Z pod jego smyka wychodzą tony miękkie, pieściwe, to znowu pełne potęgi, zawsze jednak nieskalanej czystości. Przez jakiś czas był p. Hock dyrygentem orkiestry operowej i wtedy dał się poznać jako niezrównany kapelmistrz. Wykształcił on też cały szereg uczniów, którzy dzisiaj mają już ugruntowane imię w świecie muzycznym, zwłaszcza wśród orkiestr wojskowych. Orkiestra 13 pułku piechoty, której fotografię również obok zamieszczamy, wyrobiła się pod jego kierownictwem tak dalece, że dzisiaj jest pierwszą orkiestrą w Austryi. Znają ją dobrze Krakowianie z mnóstwa koncertów, oraz z teatru miejskiego, gdzie przez szereg lat grywała w antraktach.

P. Hock ogłosił również kilkanaście kompozycyj muzycznych. Są między nimi utwory na fortepian, pieśni, oraz illustracye do sztuk teatralnych. „Kopciuszek“, sztuka ciesząca się zeszłego roku takiem powodzeniem na scenie krakowskiej, illustrowana była właśnie śliczną muzyką p. Hocka.



Betleem polskie: Poeta Lucyan Rydel, autor cieszącej się niezwykłem powodzeniem sztuki p. t. „Betleem polskie“.

Po raz pierwszy przybył p. Hock do Krakowa w roku 1868. Później jednak opuścił nasze miasto i powrócił dopiero w roku 1883. Od tego czasu stale przebywa w Krakowie, gdzie zyskał sobie niezwykłą a zasłużoną miłość i popularność. Ale też i p. Hock przywiązał się do naszego miasta tak, że odrzucił stanowiska znacznie zyskowniejsze, byle tylko w Krakowie pozostać. Ofiarowano mu naprzykład miejsce po słynnym ś. p. Komzaku w Wiedniu – odmówił; dyrektor Pawlikowski chciał go na świetnych warunkach zaangażować na kapelmistrza opery w teatrze lwowskim — odmówił; ministeryum wojny proponowało mu, aby został naczelnym inspektorem wszystkich orkiestr wojskowych w Austryi — i na to się nie zgodził. P. Hock pokochał bowiem nasze miasto, pokochał publiczność polską, wolał więc zostać tutaj na stanowisku kapelmistrza.

Betleem polskie.

Znakomity autor „Zaczarowanego koła“, p. Lucyan Rydel, którego fotografię podajemy tutaj, napisał przed rokiem nowe widowisko sceniczne, które na scenie lwowskiej i krakowskiej niebywałem cieszy się powodzeniem. Mówimy tu o „Betleem polskiem“.



Jubileusz kapelmistrza Hocka: Grupa członków orkiestry 13 p. p. z kapelmistrzem Hockiem pośrodku.

Są to poprostu jasełka, nasze swojskie, rodzime jasełka, znane każdemu z przedstawień młodzieży szkolnej po wsiach i miastach. Cóż więc ma w sobie „Betleem polskie", że przez dłuższy czas nie schodziło z repertuaru naszych największych scen?



»Prosi dziaduś, prosi....
»Torbę z dzwonkiem nosi....
Betleem polskie: Ludwik Solski, jako Dziaduś w sztuce L. Rydla p. t. „Betleem polskie".

Otóż ma przedewszystkiem tę zaletę, że jest to widowisko na wskroś polskie, nawskroś nasze. W „Betleem polskiem" Rydla, Chrystus przychodzi na świat nie w Palestynie, ale gdzieś w jakiejś wsi pod Krakowem, bo ze stajenki, gdzie obrał sobie chwilową sadybę, widać na horyzoncie blanki, baszty i wieże Wawelu, widać kościoły krakowskie. Nowonarodzonego Boga-człowieka witają w stajence nie pasterze judejscy, ale nasze, krakowskie dzieci, parobczaki w krasych kabatach; aniołowie zwiastują narodzenie Chrystusa tym właśnie parobczakom. I te nasze krakowskie dzieci śpieszą z gwiazdą betleemską do Bożej dzieciny z darami, witają go słowami polskich kolend. Jest i nielitościwy Herod, który dziatki mordować każe, ale to nie ten król żydowski, to mocarz, który dzieciom polskim pacierza w ojczystym języku zabronił, który naród cały w żelaznych uściskach gniecie, aż go aniołowie Pańscy z ognistymi mieczami bronić muszą.

Najwspanialszym obrazem w „Betleem polskiem" jest akt trzeci. U stóp Bogarodzicy składają hołd naprzód pastuszkowie, potem w długim szeregu królowie polscy, husarze, kosynierzy, powstańcy z 31 i 63 roku, unici podlascy, aż przychodzi wreszcie matka z Wrześni z dziećmi, które Prusak w szkole katuje. Matka Boża słucha tych skarg i serce jej się krwawi, aż wreszcie sama w koronie i płaszczu królewskim, jako Polska Królowa, pada na kolana przed Swoim Synem i błaga go o litość i zmiłowanie. Widać tam cały naród, skarżący się swojej niedoli i ufność jedynie w Bogu pokładający. A wszystkie sfery są doskonale skreślone, w ich typowym charakterze. Jakże naprzykład charakterystycznem jest odezwanie się kosyniera:

„Nojświętsza Panienecko,
Dejze ucałować nóżki,
Bom ci jest krakowskie dziecko,
Bom kosynier z pod Kościuski!"

Tak się może modlić jedynie Krakus.

W międzyakta wplótł Rydel misterną dłonią parafrazę znanej powszechnie szopki. W szopce tej główną rolą jest „Dziaduś", pobrzękujący skarbonką z dzwonkiem i zbierający niby to pieniądze. W roli tej zajaśniał w całej pełni talent p. Solskiego. Jego „Dziaduś" jest kreacyą jakby żywcem wyjętą z takiej szopki, gdzie lalki występują, pod względem artystycznym zaś kreacyą niedoścignioną. Widać to już na załączonej obok rycinie, przedstawiającej właśnie p. Solskiego w roli „Dziadusia!"

A jest w tej szopce i Żyd i Twardowski, zupełnie tak, jak w szopkach, z któremi dzieci wiejskie chodzą po kolendzie. Cały urok tych szopkowych postaci polega na tem właśnie, że ruchy ich są zupełnie te same, jak onych lalek drewnianych, poruszanych ręką chłopców w szopce.

I w tem przebija sie artyzm Rydla więcej, niż w całej sztuce zresztą.

* * *

Podajemy również fotograficzne zdjęcie z trzeciego aktu „Betleem".

Przed Bogarodzicą, zanoszącą do Syna modły za nieszczęsnym narodem, którego jest królową, widać wszystkie stany, chłopów, królów, mieszczan polskich.

Illustracya ta daje w przybliżeniu pojęcie o wspaniałości tego obrazu, tak pełnego polskości tak tchnącego wiarą w zbawienie, w odrodzenie za wstawiennictwem Bogarodzicy i łaską jej Syna.



Betleem Polskie: Końcowa scena III. aktu sztuki L. Rydla p. t. „Betleem polskie".



Helena Oleska, artystka opery lwowskiej.

Helena Oleska.

Opera lwowska, ciesząca się w sezonie obecnym taką olbrzymią frekwencyą publiczności, przedstawiła miłośnikom talentu parę nowych sił śpiewackich o wartości nietylko niepośledniej ze stanowiska wokalnego, lecz obdarzonych także wybitnym talentem scenicznym. Do takich należy przedewszystkiem p. Helena Oleska. — Uczenica wybornej szkoły Paschalis Souvestrów nie jest nowicyuszką w zawodzie śpiewaczym, gdyż po ukończeniu studyów debiutowała przed siedmiu laty w Bolonii w partyi Laury (Gioconda) z wielkiem sukcesem, po którym karyera młodej, obdarzonej we wszelkie uroki i powaby niewieściego wdzięku, Polki była zapewnioną. P. Oleska (z domu pna Bulikowska) śpiewała w Medyolanie, Modenie oraz w Dalmacyi pod przybranem włoskiem nazwiskiem Ellena Palmy.

Świetnie rozpoczynającej się jednak karyerze stanął na poprzek... hymen. Wyszedłszy za mąż, ustąpiła artystka ze sceny, oddając się życiu domowemu.

Ponieważ mezzosopranów wybitnych niewiele wśród naszych śpiewaczek, a p. Oleska tym właśnie rodzajem głosu dysponuje, zdołano więc pozyskać wybitną tę artystkę i dla sceny lwowskiej, na której po raz pierwszy w Aidzie z wielkiem powodzeniem wystąpiła.

* * *

P. Oleska jest obecnie prawdziwą ozdobą personalu opery lwowskiej i to nie tylko jako niezwykle utalentowana śpiewaczka, lecz także jako osoba, obdarzona wspaniałą urodą i iście scenicznym, pełnym dystynkcyi wdziękiem.

Dość spojrzeć na jej portret, który podajemy Czytelnikom powyżej w numerze dzisiejszym, żeby nabrać pojęcia, jak wspaniałem zjawiskiem na scenie operowej jest pani Helena z Bulikowskich Oleska. To też występy jej należą do najprzyjemniejszych wieczorów lwowskich bywalców teatralnych.

— *uis.* —

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

10 (Ciąg dalszy).

Rozdenerwowana w najwyższym stopniu zaplątała się we własnej sukni i stanęła na pustej desce, która się zważyła, rozerwała kotarę i z trzaskiem spadła na ziemię. Cała przestrzeń poza zasłoną otwarła się zatem przed oczyma tłumów, zebranych w sali balowej.

Powstała nagle cisza, którą jednakże przerwał hałas, większy jeszcze niż poprzednio. Jedni krzyczeli, bo obawiali się jakiego nieszczęścia, drudzy drwili z nich i wyśmiewali się, inni wreszcie krzyczeli, że się nic nie stało; jednem słowem, tuż obok zasłony zaroiło się nagle od ludzi. Owi panowie w czerwonych dominach gdzieś się w jednej chwili rozprószyli, tak samo znikła gdzieś niespodziewanie owa tajemnicza czarna postać.

Dama w pomarańczowem domino skorzystała z zamieszania i wysunęła się przez boczne drzwi do przedsionka. Mężczyzna w białym kaftanie widział, w jakim poszła kierunku i chciał iść za nią, ale nie zdołał przebić się tak szybko przez tłum masek, od których się wokoło roiło. Zawrócił więc i koło ściany zaczął się przedzierać przez tłumy. Kiedy jednak wyszedł do przedsionka, nie zastał tam już ani śladu damy w pomarańczowem domino.

Linka zaś, gdy tylko ujrzała się bezpieczną, odwróciła domino na drugą, niebieską stronę, nie potrzebowała się więc obawiać, że zostanie poznaną. Z miss Desmond umówiła się już przedtem, że gdyby zaszedł jaki niespodziewany wypadek, to się z nią spotka w garderobie dla pań. Tam więc skierowała swoje kroki i ku swojej serdecznej uciesze, znalazła tam już pułkownikową.

Miss Desmond była, naturalnie, ogromnie wzruszoną. Powiedziała naprzód Lince, że pułkownik znajduje się na sali. Ponieważ zaś obawiała się, że może wcześniej wrócić do domu, niż ona, naglila więc, aby natychmiast powracać. Linka uspokajała ją, jak mogła, i zaraz obie opuściły gmach.

Zegary miejskie wydzwaniały właśnie północ. Równocześnie orkiestra dała znak do zdjęcia masek. Zabawa stała się jeszcze dzikszą i hałaśliwszą, niż dawniej; niższe instynkty wzięły górę nad zwyczajną etykietą towarzyską i w olbrzymiej sali koncertowej zaczęły się orgie...

ROZDZIAŁ XIII.

W krzyżowym ogniu.

Na drugi dzień około godziny trzeciej po po łudniu otrzymał inspektor Byrnes wiadomość, widocznie ogromnie ważną, bo natychmiast ubrał się i wyszedł z kancelaryi.

Jak sobie Czytelnicy zapewne przypominają, śledztwo w sprawie srebrnej papierośnicy, tak energicznie przez Ślimaka prowadzone, napotkało nagle na niespodziewaną przeszkodę. Ślimak dowiedział się, że papierośnica została napewno zastawioną w lombardzie Sibleya, ale, zanim on się o tem dowiedział, ten sam człowiek, który ją zastawił, dzień przed tem ją wykupił. Mimo najenergiczniejszych starań, nie mógł więc Ślimak ani na krok dalej postąpić.

Czytelnicy, mający lepsze wiadomości, od niego wiedzą już, że Robert Johnson był obecny przy zastawianiu papierośnicy, że z przyczyn jemu tylko wiadomych, sfałszował kwit zastawniczy, przebrał się i ucharakteryzował za pułkownika, wykupił ją i wyjął ukryty w niej kawałek pergaminu.

Nie można jednakże uważać Johnsona za pospolitego złodzieja. On miał wielkie i rzeczywiście daleko idące plany. Jakkolwiek papierośnica mogła mieć kolosalną wartość, to jednak nie można powiedzieć, aby ona sama była przedmiotem jego tajemniczej roboty. Fakt, iż pułkownik przywiązywał do niej ogromną wagę, podrażnił naprzód ciekawość Johnsona, znalezienie zaś w niej owego skrawka pergaminu zadowoliło go, jak się zdaje, w zupełności. Papierośnica była mu więc już teraz niepotrzebną, a nawet niebezpieczną, bo łatwo mogła komuś wpaść w oko. Johnson postanowił więc postanowił pozbyć się jej i to jak najprędzej.

Ale co z nią zrobić?

Po dłuższym namyśle zdecydował się ją powtórnie zastawić. Przecież nie można było wykluczać możliwości, że prawy jej właściciel ją wykupi. Początkowo miał zamiar zastawić ją w lombardzie Sibleya; ale to wydało mu się zanadto ryzykownem. Musiałby się jeszcze raz przebierać, a Sibley mógł przecież wpaść na myśl, że padł ofiarą oszustwa. Lombardów jednak w Nowym Jorku nie brak, udał się więc w dniu balu maskowego do jednego z nich, znajdującego się na ulicy Bowery.

Wszedłszy do biura zastawniczego, Johnson oddał papierośnicę subjektowi, stojącemu przy jednem z okienek. Subjekt oglądnął ją bardzo szczegółowo, przypatrzył się uważnie zastawiającemu i cofnął się w głąb kantoru. Upłynęło kilka minut, aż Johnson z niecierpliwością zapukał do okienka, wołając:

— No, kiedyż się tam załatwicie!

Subjekt powrócił do okienka.

— Ileż mi panowie dacie na nią? — zapytał Johnson.

— Zaraz panu powiem, właśnie oddałem ją do oszacowania — brzmiała odpowiedź.

— Ale to trwa trochę za długo — odparł Johnson.

— Pan je właśnie obiad — ciągnął subjekt — w tej sekundzie powróci.

Upłynęło znowu kilka minut, a Johnson zniecierpliwił się już na dobre.

— Mój panie — zawołał ze złością — jeżeli szef pański ma czternaście dań na obiad, to ja mu nie myślę przeszkadzać. Ja nie mam czasu na czekanie. Daj mi pan papierośnicę, udam się do drugiego lombardu, gdzie więcej pilnują interesu, niż jedzenia.

— Jak się panu podoba — rzekł subjekt — ale szef mój w tej sekundzie nadejdzie. Właśnie, idzie już.

Odpowiedź ta wydała się Johnsonowi bardzo podejrzaną. Zawołał więc groźnie:

— Proszę mi natychmiast oddać papierośnicę. Czy pan zrozumiał?

— Dobrze — odparł drugi — niech pan będzie spokojny, zaraz ją pan dostaniesz — o, już jest.

W tej chwili wszedł do lombardu nowy gość. Porozumiał się oczyma ze subjektem, podszedł ku Johnsonowi, położył mu rękę na ramieniu i rzekł uprzejmie:

— Od dłuższego już czasu pragnąłem z panem pomówić. Może pan pozwoli ze mną, niedaleko, kawałeczek tylko.

Johnson odwrócił się do mówiącego. Był to mężczyzna o bardzo przyjemnej powierzchowności, najwyżej 40 lat liczący, silny i dobrze zbudowany. Poznał go w jednej chwili, chociaż nigdy przedtem osobiście z nim nie rozmawiał.

— Jeśli się nie mylę, to pan inspektor Byrnes — rzekł.

Inspektor skinął głową.

— Tak jest — odparł i dał znak subjektowi, który mu podał papierośnicę. — Tak, więc teraz jesteśmy gotowi — ciągnął dalej.

— Chciałbym się dowiedzieć, jaki pan ma do mnie interes — zapytał Johnson.

— Chodzi o drobnostkę, ale lepiej będzie, jeżeli się rozmówimy u mnie, w biurze. Proszę za mną!

Johnson wiedział bardzo dobrze, że wszelki opór nie miałby najmniejszego sensu. Inspektor wziął go pod rękę i za chwilę znaleźli się obaj w znanym już Czytelnikom gabinecie dyrektora tajnej policyi nowojorskiej przy ulicy Mulberry. Mister Byrnes usiadł przy biurku i zaczął indagacyę. Johnson odpowiadał jak następuje:

Nazywam się Robert Johnson. Mieszkam przy ulicy Pokoju na Jersey City. Jestem Anglikiem, do Ameryki przybyłem przed rokiem niespełna. Z zawodu jestem rytownikiem i pracuję w jednym z tutejszych zakładów.

Inspektor zanotowawszy sobie to wszystko, zagłębił się w myślach. Po chwili zapytał znowu:

— Znasz pan dużo ludzi w Nowym Jorku?

— Nie wielu — odparl Johnson — przeważnie tylko swoich towarzyszów i przełożonych w zakładzie. Na Jersey City mam też kilku znajomych.

— Jak się nazywa pańska gospodyni?

— Miss Pond.

— Jakże się pan tu bawi?

— Zwyczajnie chodzę do teatru. Czasami wychodzę na przechadzkę do Highbridge. Wczoraj byłem na balu maskowym.

— Dobrze się pan ubawił?

— Może za dobrze nawet.

— Kto jest dyrektorem zakładu, w którym pan pracuje?

— Pułkownik Hugo Desmond.

— Pan go zna?

— O tak, ja go znam i on mnie zna.

— W takim razie wszystko w porządku — zauważył poważnie inspektor. Usiadł wygodnie na krześle i założył nogę na nogę. Potem zapytał znowu, jakby z prostej ciekawości:

— Z kim pan chodzi zwyczajnie do teatru?

Po raz pierwszy Johnson nie odpowiedział odrazu. Ponieważ jednak widział, że wszelkie wykręty raczej mu zaszkodzić, aniżeli pomódz mogą, odrzekł z widoczną niechęcią:

— Najczęściej w towarzystwie młodej panny.

— Tak? Prawdopodobnie zająłeś się pan nią bliżej. Znacie się już od dawna?

— Od czasu, jak mieszkam na Jersey City. Jest to córka mojej gospodyni.

— Więc pan z nią mieszka w jednym domu?

— Nie, ona jest damą do towarzystwa u jednej z pań nowojorskich.

— Aha! Jak się ta pani nazywa?

Johnson znowu zawahał się z odpowiedzią.

— Miss Desmond — rzekł wreszcie — żona mojego szefa. Panna Pond otrzymała to miejsce na moje polecenie.

— Rozumiem! to wszystko ładnie się składa — zauważył inspektor z odcieniem życzliwej uprzejmości w głosie. — W takim razie był pan wczoraj razem z nią na balu?

— Nie, to nie jest miejsce stosowne dla młodej panienki. Byłem sam tylko.

— Tak, tak, młody człowiek lubi czasem sam się zabawić. A na balu maskowym wesoło, można się doskonale bawić, zwłaszcza po północy. Musiał tam pan porobić różne znajomości.

— Tak jest, kilka. Starych znajomych nie spotkałem.

Inspektor odłożył ołówek na bok i powstał.

— Nie będę pana dłużej zatrzymywał, mister Johson — rzekł — chciałem tylko prosić pana — ciągnął dalej, wyjąwszy papierośnicę z kieszeni — możeby mi pan powiedział, skąd pan przyszedłeś do posiadania tej rzeczy?

— Z całą przyjemnością — rzekł Johnson obojętnie — ale wiele panu nie będę mógł powiedzieć, bo sam nie wiem. Wczoraj wieczór ujrzałem ją po raz pierwszy.

— Znalazłeś ją pan na sali balowej, czy przy bufecie?

— Nie, to nie — rzekł Johnson. — Znalazłem ją dzisiaj rano i to w mojej własnej kieszeni. Z początku nie mogłem pojąć, skąd ona się tam wzięła, ale powoli przypomniałem sobie wszystkie szczegóły. Upiłem się szampanem, bo nie jestem przyzwyczajony do picia. Tańczyłem dosyć dużo, bawiłem się z rozmaitymi ludźmi, których nawet nie znałem, bo wszyscy byli zamaskowani, więc nikt się nie przedstawiał współbawiącym się. Kiedy o północy dano hasło do zdjęcia masek, siedziałem w bufecie z trzema czy czterema panami. Jeden z nich mówił mi ciągle, że jest tak samo jak ja Anglikiem i koniecznie chciał mi na pamiątkę naszego poznania się ofiarować tę papierośnicę. Nie chciałem przyjąć, ale ostatecznie upór jego zwyciężył, bo zgodziłem się na jej przyjęcie, ale pod warunkiem, że ja za to zafunduję kolacyę. Dzisiaj rano znalazłem papierośnicę w kieszeni, ale równocześnie zrobiłem bardzo przykre odkrycie, że mam pugilares zupełnie próżny. Ponieważ na papierośnicy nie zależało mi zupełnie, postanowiłem ją więc bez żadnych skrupułów spieniężyć. Poszedłem więc do pierwszego lepszego lombardu, jaki spotkałem — no, koniec pan znasz.

— A toś się pan wesoło ubawił — rzekł inspektor z uśmiechem i dodał:

— Mógłby mi pan może podać rysopis człowieka, który panu dał papierośnicę?

Johnson spostrzegł się, że inspektor prawdopodobnie był już o wszystkiem powiadomiony przez Sibleya, uważał więc za stosowne postępować według tego. Udając tedy, że zbiera myśli, odparł wreszcie:

— Jak on wyglądał, tego dokładnie nie pamiętam, nie mógłbym na to przysięgać. Jeżeli się nie mylę, to był on może o jakie dwadzieścia lat starszy odemnie. Twarz miał już pooraną zmarszczkami, o ile pamiętam, nosił także długą brodę.

— Żałuję bardzo — rzekł inspektor — że pana tak długo trudziłem. Nie mam podstaw, ani powodu do tego, żebym panu nie wierzył. Opowiadanie pańskie może mi oddać pewne ważne usługi. Bardzo możliwe, że pan je będzie musiał raz jeszcze powtórzyć. Tymczasem pozwoli pan, że papierośnicę ja zatrzymam u siebie, aż się czegoś bliższego o niej dowiem. Dla pana niema ona wartości, dla mnie zaś ogromną, a pan wiesz, że z małej iskry często wielki ogień powstaje.

Powstał na znak, że przesłuchanie skończone.

— Jestem do usług, panie inspektorze, i sta-

wię się na każde wezwanie, o ile tego zajdzie potrzeba — rzekł Johnson i wyszedł.

Zszedłszy ze schodów, zobaczył Johnson na przeciwległym trotuarze człowieka, palącego cygaro. Uszedł zaledwie ze dwudziestu kroków, a ów mężczyzna zapiął szybko palto i poszedł za nim.

ROZDZIAŁ XIV.

Pułkownik Desmond.

Upłynęło może pięć minut po wyjściu Johnsona, kiedy inspektorowi zameldowano nowego gościa. Był nim pułkownik Hugo Desmond.

— Poproście tego pana — rzekł inspektor do portyera, myśląc sobie: Jak to się jednak szczególnie składa. Szkoda, żem chwilę dłużej nie zatrzymał mister Johnsona; oszczędziłoby mi to czasu i trudu. A toby jednak było ciekawe, gdyby odwiedziny pułkownika odnosiły się choć w części do tego Anglika.

Wszedł pułkownik, ubrany w długi płaszcz, w ciepłych rękawicach, trzymając w jednej ręce jedwabny kapelusz, w drugiej laskę ze złotą gałką. Siwiejąca jego broda skrzyła się od mrozu, a oczy błyszczały mu gorączkowo.

— Czy pan inspektor Byrnes? — zapytał.

— Do usług. Proszę, niech pan siada, panie pułkowniku. Cóż pana do mnie sprowadza?

— Mówią, panie inspektorze, że kto sam sobie rady już dać nie może, ten u pana zawsze pomoc znajdzie — rzekł pułkownik z uśmiechem. Zginęła mi jedna rzecz, dla mnie z powodów sercowej natury ogromnie wartościowa, mianowicie pamiątka po moim przyjacielu. Zależy mi na tem, aby ją w jakibądź sposób odzyskać. Może mi pan w tej sprawie co pomoże.

— O ile będę mógł. A cóż to za rzecz?

— Srebrna papierośnica rosyjskiego wyrobu z monogramem na jednej pokrywie.

Przy tych słowach inspektor nawet drgnieniem powiek nie zdradził się, że ta właśnie papierośnica ogromnie jego samego interesuje. Zapytał więc po krótkim namyśle:

— Z jakich liter składał się monogram?

— Z początkowych liter mego nazwiska „H. D.“.

— H. D. — rzekł inspektor sam do siebie. — Może to jaka inna? Myśmy przecie czytali L. H. No, ale to może być wina rytownictwa. — Głośno zaś zapytał:

— Duża to była papierośnica?

— Trzy, może cztery cale długa, a ze trzy cale szeroka. Była zrobiona z masywnego srebra i wewnątrz pozłacana. Niżej 50 dolarów takiej by się nie dostało.

— Kiedy i w jaki sposób panu zginęła?

— Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale tak łatwą, jakby się zdawało. Mógłbym, zaiste, powiedzieć, że papierośnica dopiero dzisiaj znikła mi zupełnie z oczu.

— Czy ją pan zgubił, czy ją też panu skradziono?

— Zdawało mi się, że wiem, gdzie się znajduje, ale kiedy poszedłem, aby ją odebrać, dowiedziałem się, że mnie uprzedzono.

— Jakże pan sądził, gdzie ona się mogła znajdować?

— Hm... w pewnym lombardzie.

— Jeżeli pan sobie życzy, abym panu dopomógł do odzyskania papierośnicy, panie pułkowniku — rzekł inspektor sucho — to musi mi pan opowiedzieć całą historyę ze wszystkiemi, najdrobniejszymi nawet szczegółami. Jeżeli pan z jakichbądź powodów tego nie zrobi, to niema co mówić dalej.

— Historya to rzeczywiście ciekawa, ale muszę ją panu opowiedzieć. Było to tak. Przed czterema może tygodniami, jakoś przy końcu zeszłego miesiąca, zginęła mi papierośnica po raz pierwszy. Zabrano ją ze szuflady mego biurka.

— Nie wie pan, kto ją wziął?

— Podejrzenie moje padło naprzód na jednego z członków mojej własnej rodziny, nie miałem jednak wcale pewnych dowodów, więc nie mogłem śledzić dalej — to też co do tego, to nie mam pewności. Celem moim było odzyskać papierośnicę za wszelką cenę, mniejsza o to, kto ją zabrał.

— Dobrze. A potem?

— Ogłosiłem to moje postanowienie i wkrótce potem doręczono mi kwit zastawniczy, wystawiony właśnie przy zastawianiu papierośnicy.

— Jaki numer miał ten kwit?

— Dziewięćset osiemdziesiąt trzy.

— A firma lombardu?

— Salomon Sibley.

— Znam go. A cóż pan potem zrobił?

— Udałem się dzisiaj rano do lombardu, okazałem kwit i oświadczyłem, że chcę wykupić papierośnicę. Właściciel lombardu obejrzał kwit — na twarzy jego malowało się dosadnie ogromne zdziwienie — poszedł do jakiejś drugiej osoby, a wróciwszy, powiedział mi, że papierośnica jeszcze przed kilku dniami została wykupiona.

— Jakżeż mogła zostać wykupioną, jeśli pan miał kwit?

— Ja się też o to pytałem Sibleya. On twierdził, że mężczyzna, który papierośnicę wykupił, miał również kwit zastawniczy, zupełnie się z książkami zgadzający. Naturalnie, on jest zupełnie spokojny, bo zdaje mu się, że on zrobił wszystko, co do niego należy. Dodał zaś, że mój kwit wygląda zupełnie tak samo, jak kwit tego, który papierośnicę wykupił, że więc jeden z nas musiał kwit sfałszować. Ponieważ zaś ja wiem doskonale, że mój kwit jest prawdziwy, więc ten drugi musiał być sfałszowany.

— Kwit zastawniczy można łatwo sfałszować — zauważył inspektor — ale postarać się o dokładny numer i dokładny opis zastawu, to już rzecz trudniejsza. Ma pan może pojęcie, w jaki się to sposób stało?



...Porozumiał się oczyma ze subjektem, podszedł ku Johnsonowi, położył mu rękę na ramieniu i rzekł uprzejmie: Może pan pozwoli ze mną....

— Nie mam pojęcia, dalipan — rzekł pułkownik stanowczo.

Inspektor myślał chwilę, wreszcie zapytał:

— Kiedy tę papierośnicę zastawiono u Sibleya?

— O ile wiem, 31 grudnia.

— Więc pozwoliłeś pan, aby ona tam tak długo leżała i nie śpieszyłeś się z jej wykupnem?

Pułkownik zagryzł wargi.

— Na razie jej nie potrzebowałem. Główny mój cel był osiągnięty, wiedziałem bowiem, gdzie się znajduje. Posiadając zaś kwit zastawniczy w kieszeni, mogłem być pewny, że mi już drugi raz nie zginie. Zresztą interesy tak mnie ciągle zajmują, że dopiero dzisiaj postanowiłem ją wykupić.

— To jasne — rzekł inspektor, udając, że nie zauważył chwilowego zmieszania się pułkownika. — Ile dni upłynęło od czasu zastawienia papierośnicy, zanim pan dostałeś kwit zastawniczy w swe ręce?

Pułkownik zaczerwienił się.

— Dokładnie sobie tego przypomnieć nie mogę; może trzy, może cztery dni.

— To wystarczało, aby sobie tymczasem sporządzić fałszywy duplikat kwitu. Najprostszem wyjaśnieniem byłoby przypuszczenie, że osoba, która zabrała i zastawiła papierośnicę, kazała sobie zrobić duplikat, zanim kwit panu oddała.

— Wątpię bardzo, czy ta sprawa tak się miała — mówił pułkownik. — Zresztą sfałszowany kwit przedłożono Sibleyowi dopiero niedawno, to znaczy, że od czasu, jak prawdziwy kwit był w mojem posiadaniu, upłynęło już dni parę. Gdyby sfałszowanie było dziełem osoby, która papierośnicę zabrała, to przecież byłaby ona na mocy sfałszowanego kwitu odrazu zastaw wykupiła.

— Można i w ten sposób rozumować — rzekł inspektor. — Wobec tego więc musiało w tej sprawie brać udział troje ludzi. Pierwszy pan; potem ktoś z pańskiego domu, który papierośnicę zabrał, a trzecia ta właśnie osoba, która kwit sfałszowała i na mocy tego kwitu zastaw wykupiła. Ta ostatnia była u Sibleya, więc i on i jego pomocnik musieli ją widzieć. Czy podano panu rysopis tej osoby?

— Miał to być starszy mężczyzna z brodą. Subjekt twierdził, że był przekonany, iż to ja sam jestem. Mówił on, że mnie sobie doskonale przypomina.

Inspektor spojrzał w oczy pułkownikowi i rzekł spokojnie:

— Więc subjekt pana znał? O tem mi pan nic nie mówiłeś. Jeżeli pana uważał za fałszerza, to musiał był poprzednio już pana widzieć.

Na te słowa pułkownik był zupełnie nieprzygotowany. Nic dziwnego więc, że na chwilę stracił dotychczasowy spokój. Opanował się jednak i szepnął:

— Zdaje mi się, że się źle wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że gdy mnie subjekt ujrzał, był przekonany, iż ja jestem tymsamym, który zastaw na mocy sfałszowanego kwitu wykupił.

Inspektor śmiał się w duchu z tego tłómaczenia. Zaczynał on teraz sprawę pojmować. Widocznem było, że pułkownik coś ukrywał, mianowicie nie chciał powiedzieć, że on sam papierośnicę zastawił. Szef policyi był o tem mocno przekonany, nie miał jednak dotychczas pewnych podstaw do utwierdzenia się w tem mniemaniu. Na razie postanowił więc postarać się o wyjaśnienie innej sprawy.

— Teraz pana rozumiem — rzekł: — widocznie fałszerz musiał być z wyglądu podobny do pana, albo, co więcej prawdopodobne, przebrał się w ten sposób, aby mógł uchodzić za pana. Może nam się uda dowiedzieć, kto to taki. Pan jesteś szefem jednego z tutejszych zakładów przemysłowych, jeśli się nie mylę.

— Tak jest, ale cóż to ma wspólnego z moją sprawą?

— Stawiam hypotezę, panie pułkowniku. Rzecz naturalna, że w zakładzie pańskim zatrudnionych jest mnóstwo ludzi, z których niektórzy znają pana osobiście. Może pan z którym ze swoich podwładnych żyje bliżej?

— Rzeczywiście, ale tylko z jednym, do którego mam zupełne zaufanie — odrzekł pułkownik po namyśle. — Cenię go bardzo wysoko, zarówno jego zdolności fachowe, jak jego samego.

— Mógłbym pana prosić, by mi pan wymienił jego nazwisko? — przerwał inspektor.

— Nazywa się Robert Johnson; jest to rodowity Anglik, który przed ośmiu, może przed dziewięciu miesiącami został do naszego zakładu przyjęty i to dzięki znakomitym świadectwom, jakiemi się legitymował. Podejrzenie przeciw niemu niema jednak najmniejszej racyi bytu. Niema zresztą żadnej okoliczności, któraby pozwalała przypuszczać, że i on w tę sprawę wplątany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szaniec polskości.

Siedm lat temu pan Ludwik Hipolit Małecki, ówczesny członek Zarządu I. Krakowskiego Koła T. S. L., a obecnie Koła tego prezes, zainicyował zbieranie składek na rzecz Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ zapomocą skarbonki obnośnej. Szanowny inicyator w pierwszej chwili napotkał powątpiewanie i opozycyę nawet pomiędzy kolegami w Zarządzie, wkrótce jednak energią i poświęceniem, z jakiem wziął się do wykonania swojego projektu, przekonał wszystkich o jego praktyczności. Dziś o niej nikt nie wątpi, a pan Małecki z zadowoleniem stwierdzić może, że przysporzył Towarzystwu 22 tysiące koron — tyle bowiem do zeszłego tygodnia zebrano do skarbonki obnośnej. Gdy pierwsze trudności były przełamane i składki zaczęły płynąć, a weteran ze skarbonką (którego podobiznę daliśmy w poprzednim numerze) stał się popularną w Krakowie figurą, pan Małecki wniósł, ażeby składki te przeznaczyć na cel ściśle określony i to na szkołę kresową, mającą się zbudować w miejscu najbardziej przez niemczyznę zagrożonem. Wniosek ten tak w Zarządzie Koła, jak i w Zarządzie głównym T. S. L. znalazł przychylne przyjęcie i wkrótce zgodzono się, ażeby za wpływające do skarbonki obnośnej składki zbudować w pierwszym rzędzie szkołę polską w Leszczynach pod Białą. Wobec zbliżającej się właśnie 150 rocznicy urodzin wielkiego reformatora wychowania narodowego, Stanisława Konarskiego, uchwalono na wniosek ówczesnego prezesa Koła, ś. p. ks. Tadeusza Chromeckiego, nazwać zbudować mającą się szkołę imieniem Konarskiego i wzięto się rączo do dzieła; zakupiono grunt w Leszczynach za 4000 koron, tuż obok granicy śląskiej, nieopodal fabryk i wnet, bo już w r. 1903 zbudowano szkołę, której wizerunek podajemy, a która już całe zastępy dzieci polskich ochroniła od dostania się do niemieckiej „Schule“ i od przesiąknięcia germańskim duchem. Jak szkoła polska była w Leszczynach potrzebną świadczy fakt, że uczęszczało do niej zaraz po zbudowaniu w roku szkolnym 1903/4 — 147 dzieci, w następnym 1904/5 — 187, w bieżącym zaś uczęszcza 194, a uczęszczałoby znacznie więcej, gdyby szkoła była obszerniejszą — zachodzi więc pilna potrzeba rozszerzenia szkoły. Budowa jej wraz z gruntem kosztowała 24 tysięcy koron, na to, jak wspomnieliśmy wyżej, zebrano 22 tysiące; konieczne rozszerzenie kosztować będzie około 6 tysięcy, tak, że na razie potrzeba jeszcze dla Leszczyn 8 tysięcy koron. Tymczasem zaś czekają już inne kresowe miejscowości, które z utęsknieniem wyglądają szkoły polskiej! Więc nie zapominajmy, że szkoła na kresach to szaniec polskości i nie bądźmy skąpymi na widok weterana z dwubarwną skarbonką T. S. L., powtarzającego przy każdym stoliku w kawiarniach i restauracyach: „Proszę o grosz na Szkołę Ludową!“.



Szaniec polskości: Szkoła im. Konarskiego w Leszczynach pod Białą, wybudowana staraniem I. Krak. Koła męskiego Tow. Szkoły Lud.

Akademickie Koło T. S. L. we Lwowie.

Jednem z najzasłużeńszych ze stukilkudziesięciu kół Tow. Szkoły ludowej, rozsianych po całej Galicyi, jest akademickie Koło we Lwowie. Zamknęło ono obecnie ósmy rok swego istnienia sprawozdaniem, stwierdzającem znaczny rozwój w pracy. Liczba członków Koła doszła do imponującej liczby przeszło 700. Czytelń posiada Koło w swym zarządzie 38 w najrozmaitszych powiatach Galicyi wschodniej. W ciągu roku wygłosili prelegenci, wysłani z ramienia zarządu Koła, 230 odczytów, nadto odbyło się w tym okresie 400 pogadanek w czytelniach Koła. Zorganizowało dalej Koło 6 trup amatorskich włościańskich i urządziło 20 obchodów narodowych po wsiach, gdzie znajdują się czytelnie Koła. Donioślejszym jeszcze owocem działalności Koła akademickiego jest powstanie całego szeregu kas systemu Raiffeisena, instytucyi niezmiernie pożytecznej, chroniącej ludność wiejską przed niesumienną lichwą.

Rezultaty pracy członków Koła byłyby niewątpliwie jeszcze piękniejsze, jeszcze obfitsze, gdyby znalazły się odpowiednie fundusze. Brak ich paraliżuje niejednokrotnie piękne zamiary Koła.

Na czele zarządu Koła stała w roku ubiegłym p. Helena Waydówna, słuchaczka uniwersytetu, którą widzimy właśnie pośrodkn grupy członków zarządu Koła, na załączonej obok rycinie.



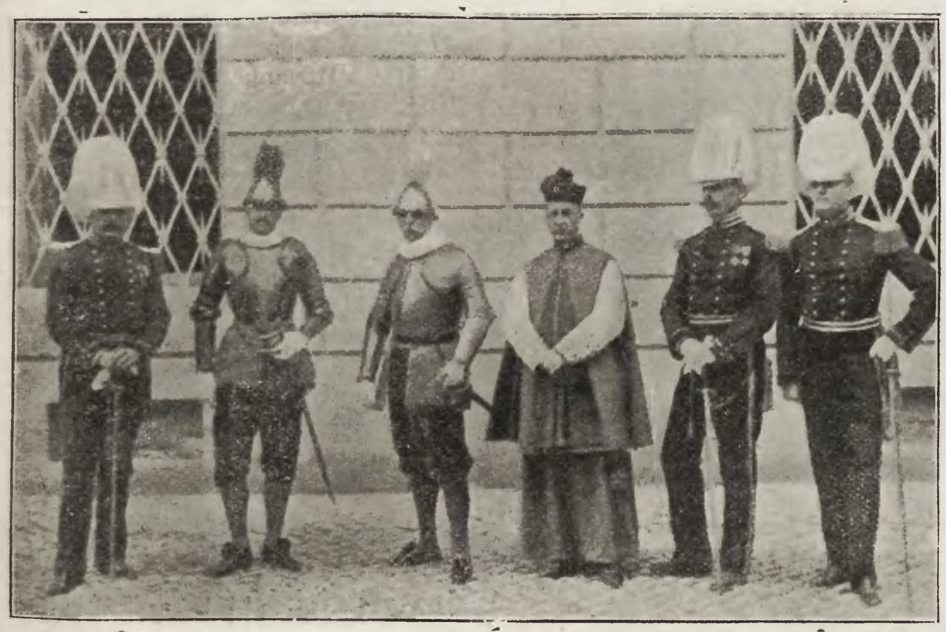
Fot. „Kordyan“ we Lwowie.

Akademickie Koło T. S. L. we Lwowie: Grupa członków zarządu Koła z przewodniczącą, Heleną Waydówną, pośrodku.

Jubileusz gwardyi papieskiej.

W Watykanie odbyły się niedawno wielkie uroczystości jubileuszowe z powodu czterechsetlecia istnienia przybocznej straży papieskiej, tak zwanej gwardyi szwajcarskiej. Po uroczystej mszy papieskiej,

odbyło się przyjęcie u Ojca św. a następnie wspaniała uczta w koszarach gwardzistów. Jednocześnie wmurowano tablicę pamiątkową i wybito medal jubileuszowy. Uroczystości te przypomniały światu, że papieże niegdyś, będąc nietylko naczelnikami Kościoła, lecz zarazem świeckimi monarchami, rozporządzali własnem wojskiem. Resztką właśnie tej armii papieskiej jest po dziś dzień istniejąca, a już tylko dla osobistego bezpieczeństwa osoby Ojca św. trzymana w Watykanie, gwar-



Jubileusz gwardyi papieskiej: Grupa członków gwardyi szwajcarskiej w Watykanie, która teraz obchodziła uroczyście rocznicę 400-letniego istnienia.

dya szwajcarska, założona w r. 1506 przez papieża Juliusza II. Naówczas monarchowie najmowali wogóle do służby wojennej Szwajcarów, więc za ich przykładem sprowadził sobie i Juliusz II. do Rzymu 150 ludzi ze Szwajcaryi, z których utworzył zaufaną gwardyę przyboczną. Zarówno on, jak i jego następcy, znaleźli w Szwajcarach wiernych obrońców, którzy, gdy życiu Namiestnika Chrystusowego groziło w czasach burzliwych niebezpieczeństwo, dali się nieraz wyciąć do nogi. Na czele gwardyi szwajcarskiej stał przez kilkaset lat ród Pfyffer d' Altishofen z Lucerny. Potomkowie tej rodziny dotychczas bywają oficerami watykańskiej gwardyi. Do nich należą pierwszorzędne hotele w Rzymie. Jeden z członków tego rodu, zarządzający spółką hotelową, jest żonaty z panną Rajchman z Warszawy. Dziś komendantem gwardyi jest baron Meyer von Schauensee z Lucerny. Wszyscy gwardziści pochodzą niezmiennie z katolickich kantonów szwajcarskich. Noszą oni mundury malownicze, których krój i barwy zmieniały się często w ciągu wieków. Dziś gwardya szwajcarska w Watykanie składa się ze stu ludzi.

* * *

Grupa zdjęta z okazyi obecnego jubileuszu, a powyżej na naszej rycinie przedstawiona, daje wyobrażenie o wyglądzie gwardzistów, w których rękach spoczywa bezpieczeństwo osobiste Piusa X.

B. pułkownik Struś z r. 1863.

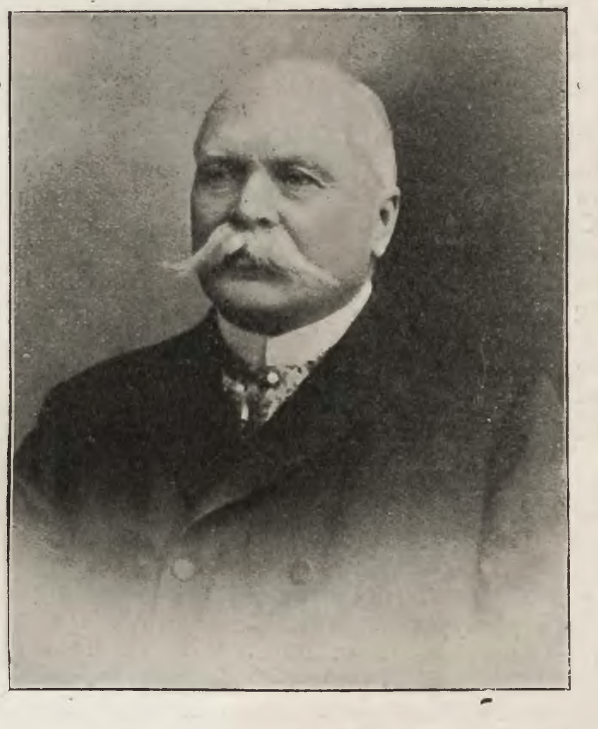
Po 33 latach pracy na stanowisku inspektora szpitali krajowych przechodzi w stan dobrze zasłużonego spoczynku dr. Jan Stella-Sawicki, mąż niepośledních zasług dla kraju i społeczeństwa, którego fotografię zamieszczamy z tego powodu w numerze dzisiejszym.

Urodzony w r. 1831 w Szawlach na Żmudzi, po ukończeniu gimnazyum miejscowego, przechodzi do szkoły kadetów w Petersburgu, którą opuszcza jako 18-letni młodzieniec w stopniu oficera lejbgwerdyi pułku grenadyerskiego. Kształci się dalej w akademii wojennej generalnego sztabu w Petersburgu, skąd wychodzi jako sztabskapitan.

Odbywszy następnie dłuższą podróż dla studyów zagranicą, zostaje mianowany w roku 1858 szefem sztabu 1-ej kawalerzyskiej dywizyi w gubernii kowieńskiej. Mając lat 28, został pułkownikiem. W wojsku rosyjskiem przebywał do wybuchu powstania r. 1863. Na pierwszą bowiem wieść o zbrojnym ruchu, wziął dymisyę i rzucił świetną karyerę, przybył do Galicyi, brał udział w kilku bitwach i przez rok cały był naczelnym organizatorem wojennym na Galicyę, jako „pułkownik Struś“.

Po upadku powstania poszedł, jak tylu innych, na tułaczkę i żył przez 2 lata w Szwajcaryi. Wrócił następnie do kraju, lecz jako „skompromitowany“ politycznie, musiał wnet znowu uciekać za granicę. Znalazłszy materyalne oparcie w dochodach z korespondencyi, posyłanych do lwowskiej „Gazety Narodowej“, poświęcił się medycynie, którą studyował przez 3 i pół roku na uniwersytecie w Strasburgu i w r. 1870 uzyskał stopień doktora medycyny i chirurgii. Przetrzymawszy oblężenie Strasburga podczas wojny francusko-niemieckiej i położywszy bardzo wiele zasług jako lekarz szpitalny, wyjechał następnie do Szwajcaryi i rozpoczął wolną praktykę lekarską. Za pośrednictwem Fr. Smolki otrzymał wnet potem pozwolenie powrotu do kraju i korzystając z tego, osiadł w Galicyi, a złożywszy na uniwersytecie Jagiellońskim ponowny egzamin lekarski, został praktykantem w szpitalu powszechnym we Lwowie. Już w r. 1873 Wydział krajowy zamianował go inspektorem szpitali krajowych i na tem stanowisku wytrwał dr. Jan Stella-Sawicki aż do ostatnich dni.

Zasługi jego około rozwoju szpitalnictwa krajowego, są bardzo duże a ocenić je można, gdy się porówna stan wewnętrznych urządzeń szpitali przed laty 30, a obecnie. To też postać czcigodnego inspektora powszechnym otaczana jest szacunkiem. W całej Polsce znają nazwisko dra Stelli-Sawickiego jako autora wielu dzieł naukowych i popularnych z zakresu medycyny, hygieny i nauk przyrodniczych. W całej Polsce przechowują też we wdzięcznej pamięci imię zasłużonego „pułkownika Strusia“ z r. 1863.



Fot. T. Bahrynowicz Lwów.

B. pułkownik Struś z r. 1863: Przechodzący w stan spoczynku, inspektor szpitali krajowych we Lwowie, dr. Jan Stella Sawicki, znany jako pułkownik Struś, naczelny organizator powstania polskiego w Galicyi w roku 1863.

Prawnuczka polskiego generała królową hiszpańską.

Odbyły się już zaręczyny i na czerwiec naznaczono termin ślubu młodego króla hiszpańskiego, Alfonsa XIII, z uroczą księżniczką Eną Battenberżanką. Oto portret obojga narzeczonych. A teraz zapoznajmy się bliżej z przyszłą władczynią najpotężniejszego niegdyś państwa na świecie, obchodzi ona bowiem nieco polskie społeczeństwo, któremu nie jest obcą ze względu na swoje pochodzenie. Księżniczka Ena (Ewa, Julia, Wiktorya, Eugenia) Battenberg urodziła się 24 października 1887 w szkockim zamku Balmoral, ulubionej siedzibie sędziwej królowej angielskiej Wiktoryi, jako jej wnuczka, a córka najmłodszej jej i najukochańszej córki księżniczki Beatryczy i księcia Henryka Battenberga. Ojciec jej był jednym z 4 synów ks. Aleksandra heskiego, niepanującego brata cesarzowej rosyjskiej, żony Aleksandra II. Na jej dworze właśnie poznał książę (dziadek księżniczki Eny) damę pałacową cesarzowej, a wnuczkę dawnej garderobianej, hrabiankę Julię Hauke (ur. 1825 r.), w której tak się zakochał, że się z nią w 1851 r. ożenił morganatycznie. Brat jego, panujący w. ks. heski obdarzył swą bratowę i jej potomstwo tytułem hrabiów, a później książąt Battenberg (od miasteczka wiesbadeńskiego). Rodzice dawnej damy pałacowej na dworze petersburskim, a późniejszej księżnej Julii Battenberg (babki narzeczonej Alfonsa XIII), to nasi znajomi mimo nazwisk niepolskich.

Ojciec Julii, hr. Maurycy Hauke, syn Saksończyka, który w Warszawie założył pensyą męską, niegdyś bardzo wziętą, służył w polskiem wojsku przed ostatnim rozbiorem jako oficer artyleryi, w legionach włoskich był pułkownikiem, za Księstwa warszawskiego generałem i szefem sztabu polskiego. Wsławił się obroną fortecy Zamościa (w 1813 r.), której nie chciał poddać do ostatniej chwili. Za Królestwa kongresowego był generałem kwatermistrzem armii polskiej, ministrem wojny i wojewodą Królestwa Polskiego. Później obdarzony został tytułem hrabiowskim. Zginął tragi-



Rewizye osobiste na ulicach Warszawy: W czasie stanu wojennego w Królestwie Polskiem, rewidowanie przez patrol policyjno-wojskowy ubrania przechodnia na ul. Smolnej w Warszawie. (Treść na str. 3).

cznie w nocy 29 go listopada 1830, zabity przez podchorążych, którzy nie lubili surowego generała. Miał on za żonę pannę Zofię Lafontaine, warszawiankę, której ojciec, rodem ze Szwabii, potomek Hugenotów, doktor Leopold Lafontaine, był w Warszawie nadwornym lekarzem króla Stanisława Augusta i wówczas zaprowadził w Polsce szczepienie ospy. Był przyjacielem Kościuszki, do którego pojechał umyślnie z ran go leczyć po klęsce pod Maciejowicami. Za Księstwa warszawskiego był protochirurgiem generalnym wojsk polskich, odbył ówczesne kompanie, towarzyszył wielkiej armii w pochodzie na Moskwę i dostał się do niewoli rosyjskiej, w której umarł w Mohilewie.

Doktor Lafontaine miał za żonę mieszczańską córkę Warszawy, gorącego serca Polkę, z domu pannę Teresę Kornet, w której domu bywali oprócz króla Poniatowskiego i jego rodziny, przyjaciele jej i jej męża, Kościuszko, Dąbrowski i książe Józef. Ta właśnie mieszczanka warszawska, praprababka dzisiejszej księżniczki Eny, jest jedyną osobą już rzetelnie polskiego pochodzenia między przodkami przyszłej królowej hiszpańskiej. Po doktorze Lafontaine i jego żonie Teresie Kornet zostały dwie córki, jedna Wiktorya, za pułkownikiem Kazimierzem Słupeckim, druga Zofia, za generałem Haukem, o którym pisaliśmy wyżej, słynnym obrońcy Zamościa. Ten zostawił trzy córki: Julię księżnę Battenberg, Emilię za generałem Stackelbergiem i Zofię za jej stryjecznym bratem Aleksandrem Haukem, generał-majorem wojsk rosyjskich, dyrektorem teatrów w Warszawie i administratorem Księstwa Łowickiego.

Z tego ostatniego małżeństwa dwie córki dobrze zna Warszawa: Marya jest żoną głośnego lekarza warszawskiego, prof. dra Juliusza Kosińskiego; druga, Ludwika, niezamężna, podpisuje od lat szeregu jako wydawczyni sympatyczny tygodnik dla młodzieży, redagowany dziś przez poetę Ignacego Balińskiego: „Wieczory Rodzinne“. (Linia ta nie nosi tytułu hrabiowskiego). Ojciec doktorowej Kosińskiej i redaktorki Haukówney był synem Ludwika Haukego, generalnego dyrektora górnictwa w Król. Pol., a bratankiem obrońcy Zamościa. Brat zaś Aleksandra (dyrektora teatrów warszawskich), Józef, generał-major wojsk rosyjskich, ożeniony ze Steinkellerówną w Warszawie, otrzymał tytuł hrabiowski. On to miał syna, hr. Józefa Haukego, w którym, mimo obcego w młodości wychowania, odezwało się w całej pełni uczucie polskie w r. 1863. We wdzięcznej pamięci imię jego zachował na zawsze nasz naród. Wsławił się on w powstaniu Styczniowem jako jeden z najdzielniejszych dowódców polskiej partyzantki, pod imieniem generała Bosaka (od nazwy herbu tej rodzinie nadanego). Zginął on później w obronie Francyi, walcząc przeciw Prusakom r. 1870 pod Dijon.

Z rodziny przyszłej królowej Hiszpanii interesowało się polskie społeczeństwo jeszcze jednym z jej stryjów, ks. Aleksandrem, którego dzieje zapisały jako pierwszego księcia oswobodzonej Bułgaryi. Po znanym zamachu, który kres położył jego rządom, bawił on we Lwowie, gdzie mu urządzano owacje. Później służył w wojsku austryackiem i ożeniwszy się ze śpiewaczką panną Loisinger, córką kamerdynera, żyje jako hrabia Hartenau. Brat jego rodzony Ludwik ks. Battenberg, syn



Prawnuczka polskiego generała królową hiszpańską: Po zaręczynach w Biarritz. Alfons XIII., król hiszpański, z narzeczoną księżniczką Eną Battenberg, prawnuczką mieszczki warszawskiej Teresy Kornet.

najstarszy ks. Aleksandra heskiego i Julii z Hauków Battenberg, jest dziś admirałem floty angielskiej, a przez małżeństwo z kuzynką swoją, ks. Wiktoryą heską, jest szwagrem w. ks. heskiego, cesarza rosyjskiego i księcia Henryka pruskiego. To drugi stryj narzeczonej Alfonsa XIII.

Brat jego, a trzeci syn Julii Hauke, byłej damy dworu, który zrobił najlepszą partyą, jako zięć królowej angielskiej, przez co wszedł w powinowactwo najbliższe z najpierwszymi potentatami świata i rodzinę swoją zrównał z domami panującymi, mimo, że się to już teraz nie zdarza dzieciom z małżeństw morganatycznych członków rodów monarszych — był właśnie ojcem ks. Eny, przyszłej królowej hiszpańskiej, która przez to jest cioteczną siostrą cesarza Wilhelma II niemieckiego i rodzoną siostrzenicą króla Edwarda VII angielskiego. Zmarł on przed 8 laty w Afryce w kampanii przeciw Aszantom, nie doczekawszy uroczystej chwili (czego zresztą nie mógłby nigdy przeczuwać), w której córka jego Ena zasiądzie na tronie Izabeli katolickiej. A pierwszy to raz królową Hiszpanii będzie prawnuczka polskiego generała i praprawnuczka skromnej mieszczki warszawskiej, sama nie Polka wprawdzie i na angielskim dworze wychowana, ale bądź co bądź w części polską krew w żyłach mająca. Nosiła już bowiem koronę hiszpańską raz polska królewna, Marya Amelia, córka Augusta III, a żona Karola III. Ale to było jeszcze w tych czasach, gdyśmy sami mieli swoich królów.

Wojna z Kościołem we Francyi.

Od dwóch tygodni blizko przychodzi w Paryżu codziennie prawie do starć między policyą a ludnością cywilną. Terenem walk są zwykle dziedzińce przed kościołami, a często nawet wnętrza świątyń. Tłem tych zajść jest, jak wspomnieliśmy w poprzednim numerze, łatwo zrozumiałe oburzenie ludności katolickiej, broniącej domów Bożych przed gwałtem, jakim według jej pojęć jest spisywanie inwentarza kościelnego przez urzędników państwowych. Ta wojna z Kościołem przybrała nawet w kilku dzielnicach takie rozmiary, że trudno wprost byłoby im uwierzyć, gdybyśmy nie mieli telegramów rządowych i fotografii, na miejscu robionych, a przedstawiających najdrażliwsze momenta tej wojny.

Największe rozmiary przybrała w ubiegłym tygodniu walka przed kościołem św. Klotyldy. Przed nadejściem urzędników, mających dokonać inwentaryzacyi, zgromadziły się w tej świątyni tysiące pobożnych, które śpiewały pieśni nabożne i modliły się. Było między nimi kilkunastu członków najwybitniejszych rodzin francuskich, jak hr. Rochefoucauld, hr. Odelin i inni. Przed kościołem zgromadzone były również tłumy, wznoszące co chwila okrzyki przeciw rządowi. Między nimi znajdowała się jednak spora liczba ludzi, którzy wołali „precz z klechami“, co z natury rzeczy musiało wzmagać nastrój oburzenia. Gdy ukazał się urzędnik, mający dokonać inwentaryzacyi, policya, na odgłos bębna, jak to widać na pierwszej naszej rycinie, uderzyła na tłumy zgromadzone przed kościołem, na stopniach którego hrabia Odelin wzywał



Przed atakiem.



Hr. Odelin wzywa katolików do oporu.



Straż dostaje się na dziedziniec.



Próby zdobywania bramy kościelnej.



Straż wybija witraże nad bramą.



Rozbiórka zdobytej przez straż barykady.

Wojna z Kościołem we Francyi: Sceny z rozruchów w Paryżu z powodu inwentaryzacyi w kościołach.

tłumy do protestu przeciw gwałtowi rządu, co przedstawia nasza druga rycina. Konna gwardya republikańska otoczyła kościół, ale nie wytrzymała naporu tłumu; fala ludzka wlała się do wnętrza, podczas, gdy ajenci aresztowali każdego, kto się nawinął pod rękę. Będący wewnątrz kościoła zabarykadowali drzwi krzesłami i konfesyonałami. Wtedy policya zatelefonowała po straż pożarną. W chwilę później zjawiły się sikawki: strażacy, jak widać na trzeciej rycinie, przedostali się przez żelazny parkan, otaczający kościół, ku bramie, i silny prąd wody skierowali na drzwi główne, chcąc w ten sposób zmusić zabarykadowanych do otwarcia drzwi, co widać na naszej czwartej rycinie. Zapomocą drabin więc dostali się ku szczytowi bramy i wybiwszy toporkami szklane witraże, prądem wody zmusili zabarykadowanych do odsunięcia się od drzwi. Na piątej naszej rycinie widać właśnie, jak strażak rąbie górną część bramy. Następnie, gdy wywalono drzwi, strażacy usuwali po kolei krzesła i konfesyonały, z jakich zrobiono barykadę przed drzwiami; przedstawia tę chwilę nasza szósta rycina. Nareszcie wdarł się do wnętrza oddział gwardyi republikańskiej i obsadził całą nawę i wszystkie wyjścia. Zaczęto wyrzucać pobożnych, płacz kobiet mieszał się z pieśniami i ostrym głosem komendy. Ostatecznie kościół opróżniono i dokonano spisu inwentarza.

W czasie tych walk aresztowano przeszło 150 osób, między nimi kilka znakomitości ze świata artystycznego i politycznego. Na siódmej naszej illustracyi widzimy właśnie, jak policya odprowadza na policyę hr. Rochefoucaulda i jego syna, którzy również zostali aresztowani w kościele św. Klotyldy.



Wojna z Kościołem we Francyi: Scena z rozruchów w Paryżu z powodu spisywania przez władze świeckie inwentarza w kościołach: Aresztowanie przez policyę wśród manifestantów przed kościołem św. Klotyldy hr. de Rochefoucauld i jego syna.

Ekspedycye karne.

Powstanie zbrojne w prowincyach nadbałtyckich słabnie, tłumione w sposób bezwzględny przez rząd rosyjski. Od pewnego czasu czytało się w dziennikach codziennie telegramy lakoniczne, że w tej a tej miejscowości łotyskiej rozstrzelano tylu a tylu rewolucyonistów. Cyfry te rzadko w ostatnich tygodniach wynosiły mniej niż po kilkanaście osób na raz, a bardzo często dochodziły do 40, do 50 nawet. Jednocześnie ze sprawozdaniami o tego rodzaju egzekucyach, nadchodziły depesze o spaleniu lub zrównaniu z ziemią całych wsi zbuntowanych Łotyszów.



Ekspedycye karne: Wojsko rosyjskie powraca do Rygi po stłumieniu powstania Łotyszów na prowincyi.

Nie dziw tedy, że już tylko gdzie niegdzie słychać o resztkach oporu stawianego przez powstańców. W większej zaś części okolic prowincyj nadbałtyckich zamarł zupełnie ruch rewolucyjny, zwłaszcza wszędzie tam, gdzie zagrożeni baronowie niemieccy wzywali od rządu rosyjskiego pomocy wojskowej.

Dziś do Rygi z tryumfem ściągają już z powrotem jedne po drugich oddziały wojsk z prowincyi. Oddziały te nazwano ekspedycyami egzekucyjnemi lub wyprawami karnemi.

Właśnie chwilę taką przedstawia nasza rycina, gdy do Rygi wchodzi wojsko, które spełniło gdzieś na prowincyi swoją misyę ekspedycyi karnej i odbyło szereg egzekucyj na rewolucyonistach.

Znowu bomba w Warszawie.

W sobotę dnia 10 b. m. rozległ się straszliwem echem znowu nowy wybuch bomby w Warszawie, niosący śmierć i zniszczenie. Wieczorem o godz. 6-tej szedł ulicą Zgoda jeden z posterunków żandarmskich w liczbie czterech ludzi, jakie zwykle przeciągają tamtędy do teatrów „Jardin d'hiver“ i „Alexandrine“. Żandarmi szli chodnikiem parami. Kiedy minęli już dom pod l. 13, oddzielony od ulicy dość wysokim murem, tuż przed bramą następującego domu l. 11, padł nagle w pośród nich pocisk wybuchowy. Skutki wybuchu były straszliwe. Trzech żandarmów padło od razu na chodnik, czwarty choć z urwaną jedną nogą zrobił jeszcze z wysiłkiem kilka ruchów na środek ulicy, przyczem zdołał dobyć rewolweru i dać siedm strzałów w stronę ulicy Boduena, gdzie, jak mu się zdawało, zbiegł sprawca wybuchu, Tymczasem na chodniku wili się już w kałuży krwi własnej trzej jego towarzysze, poszarpani okrutnie odłamkami bomb. Po ostatnim wysiłku padł niedaleko nich ów czwarty żandarm, któremu oprócz nogi, jak się pokazało, urwała bomba jeszcze i lewą rękę.

Z nielicznych wówczas przechodniów nikt nie odniósł szwanku. W pierwszym popłochu, wśród gryzącego dymu, zalegającego ulicę, krył się gdzie kto mógł, tembardziej, że natychmiast na miejsce przybyły oddziały pułku gwardyjskiego huzarów i 46-go pułku piechoty, które zatamowały dostęp od ul. Złotej, Marszałkowskiej, od Siennej, jakoteż od ulic przeciwległych. Wezwane pogotowie ratunkowe odwiozło wszystkich rannych do szpitala Ujazdowskiego, gdzie ów pierwszy żandarm wkrótce skonał, wskutek upływu krwi. Drugi ranny był również w agonii, mając rozszarpaną szyję i ciężką ranę ręki lewej. Trzeci ma zgruchotane biodro i całe ciało srodze pokaleczone odłamkami pocisku, a podobnie jak rzeszoto podziurawiony jest i czwarty na całem ciele. Siła wybuchu była niepospolita. Brama w domu Nr. 11, jak to widzimy na załączonej illustracyi, została wysadzona i rozerwana a część jej odrzucona na przeciwną stronę podwórza, w okno sutereny; wysadzoną została również znajdująca się tuż obok bramy furtka, pod



Fot. Cz. Kulewski w Warszawie.

Znowu bomba w Warszawie: Widok ul. Zgoda między Złotą a Nowosienną po wybuchu bomby dnia 10 b. m. przed domem l. 11.



Echa strejków kolejowych w Rosyi: Żołnierze marynarki pełnią straż na dworcu kolejowym na stacyi Kokenhuzen w czasie rewolucyi w prowincyach nadbałtyckich.

którą zwykle siadywał stróż. Tenże w chwili wybuchu znajdował się w podwórzu przy drzwiach, prowadzących do suteren, do których wpadł, pchnięty siłą wybuchu i w ten sposób ocalał. Szablę jednego z żandarmów znaleziono na ul. Boduena, w odległości przeszło 200 kroków od miejsca wypadku; nie odnaleziono natomiast rewolweru jednego z rannych. Od wybuchu powypadały wszystkie szyby nietylko w domu Nr. 11, ale w sąsiednich a nawet w odleglejszym już gmachu firmy „Gebethner i Wolf“ oraz w domach przy ul. Boduena.

Przybyła wraz z wojskiem policya dokonała natychmiast rewizyi w domu pod Nr. 11 i to we wszystkich mieszkaniach, gdzie aresztowano 6 osób, między temi 32 letniego buchaltera Jakóba Goldenberga, przypadkowo tu bawiącego u przyjaciela — jakoteż Serdyńskiego i Pawła Letke'go. *B-t.*

Pierwsza na świecie szkoła dla żołnierzy-analfabetów.

Niejednego z Czytelników zadziwi z pewnością illustracya, jaką obok zamieszczamy, a przedstawiająca żołnierzy, ludzi w każdym razie już dojrzałych, którzy siedzą w ławkach szkolnych z elementarzami w ręku. A przecież jest to fotografia wzięta z rzeczywistości, mianowicie ze szkoły analfabetów w Krakowie. Jest bowiem w Galicyi jeszcze mnóstwo wsi, w których niema szkoły. Aby więc temu złemu zaradzić, zawiązało się przed laty w Krakowie Tow. Szkoły ludowej, mające za cel budowanie szkół; niesienie oświaty tam, gdzie jej dotąd nie było. Ale pomimo energicznych usiłowań Towarzystwa nie zdołano odrazu wyplenić analfabetyzmu. chociaż bowiem w ostatnich latach we wsi jakiej powstała szkoła, to jednak nie może z niej korzystać pokolenie starsze, od lat 18 w zwyż liczące. Nic dziwnego więc, że w armii austryackiej, zwłaszcza w pułkach załogujących w Krakowie, znajduje się mnóstwo młodych chłopaków, którzy ani pisać, ani czytać nie umieją. Dla nich to urządziło w roku 1901 pierwsze koło T. S. L. szkołę, którą do dziś dnia utrzymuje. A jest to pierwsza na świecie szkoła dla żołnierzy analfabetów; podnieść trzeba z uznaniem, że komenda korpusu krakowskiego dała dowód, iż rozumie doniosłość nauki i oświaty, i że usiłowania T. S. L. poparła z całą energią.

W niedzielę po południu i w każde święto około godziny drugiej przed szkołą św. Floryana na placu Matejki w Krakowie można widzieć niezwykły obraz. Oto co chwila nadchodzą oddziały żołnierzy z rozmaitych pułków, z pułku 13, 20, 56 i 100 piechoty, nadto z obrony kraj. i artyleryi wałowej, wogóle ze wszystkich rodzajów broni, jakie stoją załogą w naszem mieście. Ale oddziały to ciekawe. Zamiast karabinów na ramionach każdy żołnierz niesie w ręce elementarz i zeszyt. To uczniowie, co prawda, nie wyglądający na uczniów, którzy dopiero uczą się liter alfabetu, a jednak tak jest w istocie. Liczba frekwentantów w roku bieżącym wynosi blisko 350. Nadzór nad nauką pełnią oficerowie, delegowani przez komendę korpusu; obecnie funkcyę tę sprawuje kapitan Jan Słupski. Nad frekwentacyą czuwa komenda placu, mianowicie pułkownicy pp. Gläser i Fijałkowski. Nauka odbywa się, jak wspomnieliśmy wyżej, w każdą niedzielę i święto od godziny 2 do 5 po południu. Uczniowie otrzymują książki i wszelkie przybory do nauki bezpłatnie z Tow. Szkoły ludowej. Do utrzymania szkoły przyczynia się również wojskowość znaczną subwencyą doroczną



Zdjęcie specyalnego fotografa „Nowości Illustr.“

Pierwsza na świecie szkoła dla żołnierzy-analfabetów: Grono nauczycielskie kursu dla nieumiejących czytać i pisać żołnierzy w szkole św. Floryana w Krakowie.



Zdjęcie specyalnego fotografa „Nowości Illustr.“

Pierwsza na świecie szkoła dla żołnierzy-analfabetów: Jedna z sześciu klas kursu dla nieumiejących czytać i pisać żołnierzy w szkole św. Floryana w Krakowie, podczas lekcyi prof. Bierońskiego.

Nauki udzielają prof. szkoły św. Floryana według najnowszych metod pedagogicznych, a więc abecadła rozkładanego, tablic ściennych i t. d., tak, że każdy uczeń po roku nauki umie już dobrze czytać i pisać. Co to za rozkosz dla młodego chłopaka, jeśli, dostawszy się do wojska, po pewnym czasie może do domu, „do ojców“ list napisać! To tylko oni czują.

Grono nauczycieli składają: dyrektor szkoły św. Floryana p. Józef Parczyński, katecheta ks. Edmund Wrana, oraz pp. Stanisław Wajda, Teofil Orszulski, Wincenty Bieroński, Jan Orczykowski, Jan Planecki, Stanisław Wójcik, Mieczysław Mildner i Karol Haraschin. Grupę tę podajemy obok wraz z kapitanem Słupskim.

Na drugiej illustracyi widzimy jeden z oddziałów żołnierzy analfabetów, uczących się w klasie podczas lekcyi profesora p. Bierońskiego. Na ścianach są rozwieszone abecadła rozkładane, w głębi widać liczydło; żołnierze-uczniowie z książkami w ręku uczą się najcenniejszej rzeczy: czytać. Obraz to nadzwyczaj sympatyczny, a nadto godzien rozpowszechnienia dobry przykład, co może wojskowość zrobić, jeśli ma tylko dobre chęci.



Wiktor Grąbczewski, dyrektor opery lwowskiej, przed sądem. (Patrz: „Plotki lwowskie“).

Echa strejków kolejowych w Rosyi.

Błąkają się jeszcze ciągle po gazetach echa wielkich strejków kolejowych w różnych prowincyach Rosyi, jakkolwiek od pewnego czasu prawie wszystkie drogi żelazne w samem cesarstwie i na kresach są już w ruchu normalnym — z wyjątkiem tych okolic, w których wrzenie rewolucyjne dotąd się nie uspokoiło.

Podajemy dziś — po tylu innych, wcześniej zamieszczonych przez nas, a illustrujących najbardziej interesujące momenty tego niebywałego strejku kolejarzy rosyjskich — eszcze jedną rycinę, która, jak widzą Czytelnicy, wyobraża często w telegramach z rewolucyi łotyskiej powtarzającą się stacyę Kokenhuzen w prowincyach nadbałtyckich: na dworcu pełnią straż zawezwani przez rząd w czasie dni grozy marynarze.

Kto odnawia zamek na Wawelu.

Zawrzało w krakowskim światku artystycznym na wiadomość o zwołaniu po dłuższej przerwie posiedzenia komitetu krajowego, który miał zadecydować ostatecznie, jaki kierunek nadać sprawie odnowienia starego zamku królów polskich na Wawelu. Protestowano pod egidą grona profesorów naszej Akademii sztuk pięknych z tego powodu, że komitet ten składa się przeważnie z ekscellencyj, przebywających zwykle we Lwowie lub w Wiedniu, gdy tymczasem zdawałoby się rzeczą najodpowiedniejszą, żeby w nim do głosu dopuścić przedewszystkiem artystów twórczych, a zarazem osoby mieszkające w Krakowie, któreby, jako doradczy komitet miejscowy, mogły czuwać zbliska i ciągle nad tokiem prac restauracyjnych.

Zapowiedziane posiedzenie komitetu odbyło się wreszcie w poniedziałek ubiegły. Przybyli do Krakowa wszyscy członkowie: marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, jako przewodniczący, starszy mistrz ceremonii Edward hr. Chołoniewski, jako zastępca dworu i ces. urzędu ochmistrzowskiego, namiestnik hr. Andrzej Potocki, hr. Karol Lanckoroński, hr. Leon Piniński, dr Józef Wereszczyński, Władysław Łoziński, Jan Bołoz Antoniewicz, dr Juliusz Leo, prezydent miasta Krakowa, dr Maryan Sokołowski, dr Stanisław Tomkowicz, dr Bolesław Ulanowski i sekretarz prezydyalny Wydziału krajowego Karol Kucharski.

Komitet ten w towarzystwie kierownika odnowienia Zamku, archit. Hendla i inż. Denkera, zwiedził na Wawelu szczegółowo dotychczasowe roboty i poczynione odkrycia. Przy tej okazyi w jednej z sal 2-go piętra specyalny nasz fotograf dokonał błyskawicznego zdjęcia grupy wszystkich uczestników, którą przedstawia rycina obok zamieszczona. Poczem odbyło się posiedzenie, na którem uchwalono szereg wskazówek dla kierownictwa



Specyalne zdjęcie własnym aparatem „Nowości Illustrowanych.“

Kto odnawia Zamek na Wawelu: Komitet krajowy dla odnowienia Zamku na Wawelu, zebrany na posiedzenie dnia 12. bm. w Krakowie. Grupa zdjęta w jednej z sal królewskiego Zamku na II. piętrze na tle staroświeckiego kominka. 1. Dr. Juliusz Leo, prezydent m. Krakowa. 2. Dr. Wł. Łoziński. 3. J. E. Namiestnik Andrzej hr. Potocki. 4. J. E. Marszałek Stanisław hr. Badeni. 5. Prof. dr. Maryan Sokołowski. 6. J. E. Karol hr. Lanckoroński. 7. J. E. Leon hr. Piniński. 8. dr. Stanisław Tomkowicz. 9. Profesor dr. Jan Bołoz-Antoniewicz. 10. dr. Józef Wereszczyński 11. Inżynier Denker 12. J. E. Edward hr. Chołoniewski. 13. Sekretarz Karol Kucharski. 14. Profesor dr. Bolesław Ulanowski. 15. Architekt Zygmunt Hendel.

restauracyą zamku. Nadto uwzględniając głosy ze świata artystycznego, postanowiono zalecić Wydziałowi kraj. powołanie do krajowego komitetu architekta Talowskiego ze Lwowa oraz z Krakowa inż. Pakiesa, prof. Stanisławskiego i artystę Wacława Szymanowskiego.

Jako gospodarz Krakowa, podejmował następnie prezydent dr Leo członków komitetu wawelskiego śniadaniem w resursie przy ul. Wolskiej.



Fot. Z. Klaften, Lwów.

Dyrektor teatru żydowskiego: Zmarły świeżo we Lwowie dyrektor żydowskiego teatru żargonowego, Jakób B. Gimpel.

Dyrektor teatru żydowskiego.

Zmarł niedawno we Lwowie w 66 r. życia pierwszy dyrektor lwowskiego teatru żydowskiego, Jakób B. Gimpel. Był on lwowianinem z rodu i tutaj przez lat trzydzieści pracował w polskim teatrze hr. Skarbka jako chórzysta. Obdarzony jednak wyższą inteligencyą i pełen zapału, energii i ducha przedsiębiorczego, marzył zawsze o stworzeniu trupy własnej, któraby dawała przedstawienia w żargonie, przeznaczone dla ubogich sfer żydowskich. Zamiar ten udało mu się wreszcie po długich usiłowaniach przyprowadzić do skutku około 1890 r. Z trupą swą, nieźle zgraną, złożoną z grona utalentowanych aktorów, dawał przedstawienia naprzód w znanej we Lwowie sali „pod sroką“, a ostatnio we własnym budynku przy ul. Jagiellońskiej.

Bł. p. Gimpel — którego portret dziś umieszczamy — znany był powszechnie we Lwowie i cieszył się tu ogólną sympatyą, jako człowiek bardzo uczynny i sumienny. Zgon jego wywołał też szczery żal w sferach żydowskich. Zarząd teatru żydowskiego przeszedł obecnie w ręce jego syna p. Samuela Gimpla, który już za życia ojca prowadził dział artystyczny teatru.

Plotki lwowskie.

(Zmiana gabinetu w teatrze. — Co już jest, a czego jeszcze niema? — Moje ostrzeżenie pod adresem p. Hellera. — Dwaj dramaturdzy. — Nowa forma dramatu. — Ile trzeba papieru. — Jak długo trwa przedstawienie? — Powód podrożenia papieru. — Protest przeciw regulaminowi stróżów. — Jakby wyglądał opór bierny stróżów? Ja, mój gospodarz i mój stróż. — Pan Grąbczewski przed sądem. — Tenorowa historya o barytonie z tenorem na końcu. — Pomnik za drągiem, czy też trzy pomniki przed drągiem? — Przestajemy umierać z ciekawości. — Referat sanitarny, dr. Pisek, a zakłady pogrzebowe. — Co będzie na cmentarzach? — Namiestnictwo jako zakład pogrzebowy a kahał. — Pacyent u lekarza. — Co wolno? Nie wolno, czy wolno?

O niczem teraz we Lwowie tyle się nie mówi i nie myśli, ile o zmianie dyrekcyi teatru miejskiego. Robi się huczek i w kurytarzach teatru i za kulisami i w kawiarniach; wszędzie domysły, kombinacye, gadania, przepowiednie, informacye, przypuszczenia, dysputy, blagi. Już są nawet obozy, już są kapitały dla nowego dyrektora; są siły, są doradcy, jest dwór i otoczenie; są już pisma, ofiarowujące nowemu dyrektorowi swoje usługi; są już naciągacze, są już protektorzy potężni i słabi, są już wpływy na Radę i wpływy na nowego dyrektora; są już autorowie dramatyczni i nowe dramaty dla nowej dyrekcyi; są już nawet dla nowego dyrektora stare egzekucye — ale nowego dyrektora jeszcze nie ma. Oficyalnie go niema ale on jest, żyje, istnieje, pracuje, poci się i jest już nawet dyrektorem teatru miejskiego, choć go jeszcze rada nie aprobowała. A jest nim Ludwik Heller...

Nie wdaję się teraz w ocenę dotychczasowej działalności p. Hellera i nie stawiam mu horoskopów na przyszłość, ani nie udzielam mu rad i wskazówek, zostawiając to recenzentom teatralnym, biletерom, komisarzom policyi, urzędnikom pocztowym i Pichorowi. Zwracam p. Hellerowi tylko uwagę na grożący mu spisek. Nie ma tam wprawdzie dynamitu, bomb ani armat, nie ma konnej policyi, ale jest coś o wiele gorszego. Oto dwaj mężowie (jeden adwokat a drugi dziennikarz) niezmordowanie, ale i niespostrzeżenie pracują nad zgubą pana Hellera i jego przyszłego teatru. Nie jest to bynajmniej denuncyacya z mojej strony, bo nawet nie wymieniam sprawców po nazwisku, ale proste ostrzeżenie. Oto obaj ci mężowie pracują nad dramatem. Robią go do spółki, a że obaj już z samego zawodu mają bardzo dużo do mówienia, więc sam prolog tego dramatu zajął trzy libry papieru bitego pisma. Obecnie są w połowie aktu pierwszego, ale zapisali już tyle papieru, że zniewoleni byli uchwalić między sobą po pierwszym akcie wynająć na manuskrypt osobne mieszkanie, złożone z trzech pokoi, przedpokoju, kuchni i łazienki, ażeby się nie utopić w papierowej masie.

Na wieść o zmianie dyrekcyi prócz powyższych dwóch autorów jeszcze kilkudziesięciu innych zabrało się do roboty w dramatach i tem tylko tłómaczy się chwilowe podskoczenie cen papieru białego. Jest natomiast nadzieja, że wkrótce spadnie cena makulatury, z czego cieszy się wiele lwowskich przekupek, nie zajmujących się zresztą bliżej teatrem. Ale mniejsza o to.

My mamy ważniejsze rzeczy, które zaprzątają nasze umysły i nie pozwalają zajmować się drobnostkami. Ci, których interesuje wyższa polityka, pamiętają zapewne, że lwowska Rada miejska niedawno uchwaliła nowy regulamin dla stróżów, którego celem było podniesienie materyalnego, społecznego i cywilizacyjnego stanowiska tych mężów. Tymczasem tutejsze Towarzystwo realności odrazu poznało grozę tej nowości i w tym tygodniu w imieniu właścicieli realności wniosło protest do namiestnictwa przeciw nowemu regulaminowi, jako wielce niepraktycznemu i niebezpiecznemu. Właściciele realności podnoszą następujące zarzuty: stróżowie po większej części porobili sobie bilety wizytowe z imieniem, herbem i nazwiskiem, dodając sobie tytuł „dozorca“, lub „naddozorca“ a niektórzy: „inspektor“, „intendent“, „dyrektor“ itp. Odkąd uzyskali zatwierdzony tytuł dozorców, przyjmują sobie pomocników w randze „wice-dozorcy“, albo „stabilizowanego zastępcy dozorcy“, którym poruczają grubsze roboty. Żądają znacznego podwyższenia płac, odpowiadającego ich społecznemu stanowisku i potrzebom kulturalnym. Prenumerują radykalne dzienniki, redagują odezwy, zwołują zgromadzenia, żądają powszechnej reformy wyborczej, co wszystko razem zabiera im tyle czasu, że lokatorom każą czekać godzinami za bramą, a wreszcie zaczynają się podnosić między nimi żądania, ażeby bramy nietylko w nocy, ale i przez dzień cały były zamknięte, co jest koniecznem ze względu na tych lokatorów, którzy latami szpery nie płacą, wracając zawsze przed godziną 10. Protest przeciw-regulaminowy szperołapów wywołał wśród pp. dozorców zrozumiałe oburzenie. Noszą się podobno z zamiarem urządzenia strejku w nowej formie oporu biernego, który się objawi w ten sposób, że pewnego poranku nie otworzą wcale swoich bram i miasto wyglądać będzie jak cmentarz, bo ani psa nie ujrzymy na ulicy. Tym z mieszkań parterowych będzie wzbronione wyjście przez okno, pod zagrożeniem najfatalniejszymi skutkami.

A zatem panowie właściciele realności najlepiej zrobią, jeśli wczas wycofają swój niedorzeczny protest i przeproszą pp. dozorców. Mógłbym jeszcze niejeden czarny refleks rzucić na tę drażliwą sprawę, ale jestem, niestety, w tem położeniu, że muszę zająć stanowisko pośrednie, pojednawcze. Gospodarzowi bowiem regularnie od kwartału nie płacę czynszu, a stróżowi od tegoż czasu wstrzymałem wypłatę szpery. Wisząc tedy między jednym a drugim, muszę bronić interesów obu. Ale mniejsza o to.

Nie mogę zajmować was, Szanowni Czytelnicy, mojemi sprawami tak prywatnej natury, bo zaraz mnie posądzicie o załatwianie osobistych rachunków. To już wolę słów kilka poświęcić mojemu bliźniemu p. Wiktorowi Grąbczewskiemu, którego we Lwowie prześladuje od samego początku jakiś czarny pech. Podoba się p. Grąbczewski (ten baryton a nie tenor) na scenie, bo ma jasny, jak powiadają, głos, czy coś takiego, ale nie podoba się p. Grąbczewski (ten tenor a nie baryton), bo ma paskudną naturę, czy coś podobnego. Przysłowie mówi „mądry jak tenor“, ale p. Grąbczewski jest jeszcze mądrzejszy, do czego zresztą jako śpiewak ma wszelkie kwalifikacye w każdym razie. Ot np. w ostatnim tygodniu włóczy się po sądach (ten tenor a nie baryton) jako pozwany o niedotrzymanie kontraktu w kilku wypadkach. Taki baryton wyobraża sobie bowiem, że wolno mu bezkarnie być tenorem. Tymczasem w sądzie mówią mu, że baryton powinien zostać barytonem, a nie angażować, skoro nie ma do tego prawa, ludzi i robić z nich tenorów, bo skoro baryton angażuje tenora, nie mając do tego upoważnienia, to jest wprawdzie może dobrym barytonem, ale może na tem wyjść na kiepskiego tenora. Pan Grąbczewski usprawiedliwia się, jak tenor. Powiada, że on nie jest dyrektorem ani wspólnikiem, a tylko angażowano go jako barytona, a potem wysłano jako tenora do angażowania innych i robienia z nich tenorów. Z tej całej barytonowo-tenorowej historyi wynika jeden tenor: „Nie zaczepiaj barytona, bo to może być tenor“.

To jest tylko dziś pewnem, że panu Grąbczewskiemu Lwów nigdy nie wystawi pomnika bodaj za drągiem zniesieńskim, chociaż p. Grąbczewski za pieniążki uciułane w ciągu kilku miesięcy we Lwowie może sobie sam wystawić trzy pomniki praktyczniejsze, bo kamieniczki przed drągiem, urządzone z komfortem, z wejściem z przodu i z tyłu, zupełnie jak w teatrze. Choćby nawet przegrał wszystkie sprawy w sądzie.

Zanim to się jednak stanie, pali nas tak bardzo ciekawość wyniku tych procesów, że ludzie z zapartym tchem oczekują wyroków, wszystko inne na bok odkładają, przestają pracować, myśleć, oszukiwać się, a nawet przestają umierać według referatu dra Piseka czy Piska (dalibóg, że nie wiem), który na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej tę okoliczność publicznie skonstatował, wywołując tem przygnębiające wrażenie.

Wobec tego wszystkie zakłady pogrzebowe (nie wyłączając miejskiego, z którym, jak wiadomo, nasz magistrat jest w ciąży nierozwiązalnej) myślą o likwidacyi interesów, poczem cmentarze lwowskie zostaną zamknięte, a na ich gruntach powstaną tanie mieszkania dla urzędników, łazienki ludowe, tania herbaciarnia, dom podrzutków, tanie noclegi i inne pożyteczne instytucye, dla których dotąd nie ma miejsca we Lwowie.

To wszystko nastąpi naturalnie dopiero wtedy, kiedy procent śmiertelności dalej stale zniżać się będzie, aż przyjdzie do zera, czego należy spodziewać się już wkrótce. Gdyby zaś procent śmiertelności dzięki naszym stosunkom zdrowotnym wbrew twierdzeniu dra Piseka wzrastać zaczął, natenczas w miejsce skasowanych powstaną nowe zakłady pogrzebowe, a to w miejsce lwowskiego namiestnictwa, które w grzebaniu kawałków prześcignęło p. Kurkowskiego o długość wszystkich jego karawanów wraz z końmi, nie wyłączając ogonów. Niepoślednie miejsce zająć winien kahał lwowski w tym rzędzie nowych zakładów pogrzebowych, który znów ma specyalną rutynę w grzebaniu nietylko zmarłych, ale i żywych.

Ta bycza instytucya (taka jest napół oficyalna jej nazwa) uwzględniając powszechny ucisk podatkowy swoich współwyznawców, wymierzyła im i od siebie wyższy podatek, podnosząc dotychczasowy o ładny procencik, ażeby im ulżyć. Poseł Byk będzie mógł przy najbliższych wyborach powiedzieć, że o żydach pamięta.

Na zakończenie autentyczna dykteryjka.

Do jednego z lwowskich lekarzy przychodzi pacyent, skarżąc się na kaszel. Lekarz zbadał go dokładnie, opukał, zapisał lekarstwo i powiada:

— No, bierz pan to lekarstwo trzy razy dziennie po jednej łyżce, i najlepiej połóż się pan do łóżka. Przytem masz pan pamiętać, że nie wolno panu palić tytoniu, nie wolno pić wódki ani wina ani piwa, nie wolno panu przebywać na wilgotnem powietrzu, nie wolno panu siedzieć w kawiarni lub w teatrze, nie wolno pić ani jeść gorących potraw i napojów, nie wolno panu śpiewać ani krzyczeć, ani nie wolno panu mówić...

— Przepraszam — przerwał pacyent — czy wolno mi przynajmniej kaszleć?

Klewe

Fryderyk Kreisler.

Przed mniej więcej dwudziestu pięciu laty spotkała melomanów i muzyków wiedeńskich ciekawa niespodzianka, w postaci cudownego, pięcioletniego dziecka, wygrywającego z rozmachem posłyszane melodye na mało co od siebie mniejszych skrzypeczkach. Tym cudownym dzieciakiem był synek naszego rodaka, lekarza wojskowego, stacyonowanego wówczas we Wiedniu, dra J. Kreislera. Mały Frycek od lat niemal niemowlęcych (ur. 2 lutego 1875), okazywał pociąg do muzyki i objawiał w tym kierunku zdolność niezwykłą. Dzięki racyonalnemu prowadzeniu i pielęgnowaniu przez rodziców, dbających jednocześnie i o inteligencyę i o siły fizyczne, cudowne dziecko rozwijało się normalnie. Utalentowanym chłopcem zajął się najpierw znakomity w owym czasie skrzypek, Jaques Auber, koncertmistrz wiedeńskiej opery komicznej w t. z. Ringteatrze (pamiętnym ze strasznego pożaru podczas przedstawienia Offenbachowskich „Opowieści Hoffmana“). Z początku prowadził on naukę chłopczyny po zwykłych torach pedagogii skrzypcowej, lecz skoro tenże ujawniać począł zdolności niezwykłe i niepraktykowany zapał, a przy tem robił nieoczekiwane wielkie postępy w grze skrzypcowej — zajął się Fryckiem szczerzej tak, że przyjęto go mimo siedmiu lat, na pierwszy wyższy kurs gry skrzypcowej konserwatoryum wiedeńskiego. Tu stracił Kreisler na nauce w klasie Hellmesbergera trzy lata, zyskując u komisyi egzaminacyjnej jednogłośnie przyznaną sobie pierwszą nagrodę i złoty medal. Pragnąc nabyć lekkości i elegancyi w prowadzeniu smyka, udaje się dziesięcioletni Frycek do paryskiego mistrza-pedagoga Massarta, u którego pobiera naukę przez dwa lata. Dwunastoletni ledwie chłopak staje do konkursu z 42 współzawodnikami i zdobywa najwyższą nagrodę,



Fryderyk Kreisler.

jaką rozporządzała znakomita ta uczelnia paryska — „Grand Prix!“

Karyera Kreislera jako skrzypka-wirtuoza była zapewnioną. Wkrótce też rozpoczyna ją artysta w towarzystwie takiego mistrza, jak Maurycy Rosenthal, pianista wysoko ceniony, z którym odbywa *tournée* koncertowe po całej północnej Ameryce. Podróż ta miała skutek nie tylko artystyczny, lecz także i materyalny, a ten ostatni był na razie tem pożądańszy, że zapewnił młodemu artyście odbywanie bez troski w dalszym ciągu studyów we Wiedniu i w Paryżu a zarazem dokończenie wykształcenia ogólnego. W r. 1904 odbył Kreisler pierwszą wielką podróż koncertową po Europie, przyjmowany wszędzie nader przychylnie przez prasę, a owacyjnie i entuzyastycznie przez publiczność Berlina, Drezna, Wiednia, Gracu, Paryża, Nantes, Marsylii, Liege, Poznania, Warszawy, Petersburga, Moskwy itd. W podróży tej towarzyszył mu znany u nas lwowski pianista prof. Franciszek Neuhauser.

Dziś stoi p. Fritz Kreisler (już dojrzały mężczyzna i jeden z najpoważniejszych skrzypków współczesnych, równy dzielnością talentu Burmestrowi, Marteau, Thomsonowi) na poważnem stanowisku wirtuoza sławy wszechświatowej — podziwiany i oklaskiwany. Krytyka stawia produkcye tego artysty bardzo wysoko, podnosząc piękny, pełen blasku, siły i głębi ton, oraz powagę, z jaką Kreisler traktuje trudne a często niewdzięczne zadanie wirtuoza. Recenzenci nadto zwracają uwagę na skończoną, perlistą, gładką i świetną technikę, pozwalającą mu igrać swobodnie z wszelkiemi, najdalej w wymaganiach idącemi trudnościami.

Fritza Kreislera, który mimo nazwiska niemieckiego, jest, jako syn krakowianina, także i naszym rodakiem, usłyszy w tych dniach i oceni na koncertach muzykalna publiczność Lwowa i Krakowa.

— *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

26 Ciąg dalszy.

— Więc ona nie przyjdzie! — szepnął zgnębiony Amerykanin — lecz prawda! Po cóż ma przychodzić, co znaczą dla niej wieści z Ameryki i dawni starzy przyjaciele, skoro już tu znalazła inną do szczęścia drogę!...

— Powoli, Archer! Ona tu przyjdzie! Nie przerywaj mi pan, tylko słuchaj do końca. Kiedy już wychodziłem, kiedy żegnałem się z panią domu i jej niesympatyczną córeczką, panna Helena znów zjawiła się w salonie. Chciałem pożegnać ją tylko ukłonem, ale ona sama wyciągnęła do mnie rękę... Uścisnąłem tę drobną rączkę z całą serdecznością i poczułem, że właścicielka jej wsuwa mi jakiś papierek. Jak wyćwiczony kubaniarz z rewolwerowego świstka po trzy fenigi, schowałem tę przesyłkę tak, że nikt z obecnych tego nie zauważył. A na tej kartce wyczytałem potem tych kilka słów: „Nie wielki byłby to tryumf dla pana, gdybyś chciał podejść i wystawić na śmieszność biedną taką, jak ja, dziewczynę. O siódmej będę czekać na pana w czytelni kolejowej“.

Inżynier westchnął tak, jakby kamień spadł mu z piersi.

— Z tego wszystkiego wnoszę, że chyba jakimś podstępem zmuszono ją do oddania ręki swemu kuzynowi, i że z chęcią powita chwilę wyzwolenia, o które się dla niej postaramy!

Komisarz wzruszył ramionami i spojrzał z powagą na Archera.

— Za mało naturalnie znam pannę Helenę Springer i tutejsze stosunki, abym się miał z panem spierać w tym kierunku, ale pewne okoliczności świadczą, że ona sama zgodziła się na to małżeństwo. Nie zadowoliłem się wizytą u Springerów i u Harrasa, lecz także starałem się gdzieindziej zasięgnąć języka. A dowiedziałem się ciekawych rzeczy.

I komisarz krótko opowiedział Archerowi szczegóły ucieczki Heleny z Cezarem, naturalnie według wersyi, jakie rozpuścił do mieście pan adwokat Harras. Archer słuchał tego z boleścią i przygnębieniem, ale wciąż jeszcze wiara, jaką miał w czystość i niewinność ukochanej, walczyła z tem, co słyszał o niej. Jak w gorączce kręcił się po pokoju i w myśli szukał coś, coby mogło usprawiedliwić postępowanie Heleny i tę jej ucieczkę z kuzynem, która nie mogła być wreszcie czczym wymysłem!...

— Ta ucieczka jej to był prosty gwałt, popełniony tylko dlatego, aby zmusić ją do małżeństwa! — krzyknął wreszcie! — Ona z własnej inicyatywy nigdyby się na coś podobnego nie zgodziła!...

Dalszą rozmowę przerwał kelner, który oznajmił, że dwóch panów chciałoby się rozmówić z panem Fryderykiem Walterem, i równocześnie wręczył Archerowi dwa bilety wizytowe. Inżynier nie znał nawet nazwisk tych panów i pierwszy raz słyszał o nich w swem życiu, ale Berman odrazu wiedział o co chodzi.

— To sekundanci Cezara Springera, mój drogi! — rzekł do inżyniera, gdy ten wysłał kelnera z poleceniem, aby zaprowadził gości do jego pokoju. — Ciekaw jestem, co pan teraz poczniesz z tą przykrą sprawą!

— Tu niema dwóch zdań! Będę się z nim bić i basta!

— Mam nadzieję, że pan tego nie uczynisz panie Archer! W każdym razie niech pan nie zapomina, że ja jestem urzędnikiem policyi i nigdy nie mogę pozwolić na coś podobnego!

— Ach! W takim razie daruje pan, że nie poinformuję go o dalszym przebiegu całej sprawy, lecz cofnąć się, za nic się nie cofnę! Moja dobra cześć ucierpiałaby na tem, a ja tego nie zniosę! Zresztą, mój drogi komisarzu, wierz mi pan, że kiedy, jak kiedy, ale obecnie z całą przyjemnością przeszyję panu Cezarowi Springerowi pierś kulą!..

— No! no! gdybym to ja był przypuszczał panie Archer, że pańska zazdrość i to całkiem niewczesna narobi nam takiego bigosu, to bym był panu jeszcze w Hamburgu ślicznie podziękował za łaskawe towarzystwo! Skoro jednak jestem już tutaj z panem, skoro cofnąć się nie mogę, to przynajmniej mam chyba prawo prosić pana o pewne względy. Otóż, jeśli pan już nie chcesz przeprosić swego przeciwnika, co w tej sytuacyi byłoby najodpowiedniejszem, to staraj się pan przewlec trochę tę sprawę, zwłaszcza, że pan nikogo tu nie znasz i trudno ci będzie wyszukać sekundantów!...

— Zdaje się, że wśród przyjaciół obrażonego znajdę jednego lub dwóch takich, którzy zgodzą się być moimi świadkami, byleby tylko pojedynek przyszedł jak najprędzej do skutku!

— No! to zwołaj pan sąd honorowy!

— Na którym będę się musiał przyznać do fałszywego nazwiska! Nie, panie komisarzu! Choćbym chciał, nie mogę uczynić zadość pańskim życzeniom i choć zawsze pozwoliłbym panu pokierować moimi krokami, to tam, gdzie idzie o mój honor, pójdę tą drogą, którą sam uznam za najlepszą!

Berman chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zanim zdołał otworzyć usta, zapukano do drzwi i ledwie komisarz zdołał skryć się w przyległym pokoju, weszli dwaj przyjaciele Cezara.

Obaj panowie zachowali się tak poważnie, jak zwykle w tego rodzaju sprawach zwykli sekundanci postępować. Imieniem obrażonego oświadczyli, że nie mogą zadowolić się żadnem tłómaczeniem, albo przeproszeniem, oraz, że nie myślą sprawdzać, czy wyzwany jest zdolnym do dania satysfakcyi z bronią w ręku, gdyż nie chcą odwlekać pojedynku, który jest nieodzowny. Przy omawianiu warunków spotkania powiedzieli, że, ich zdaniem, wyzwany powinien zgodzić się na pistolety z ciągniętemi lufami i potrójną wymianą kul z odległości dziesięciu kroków na komendę. Archer zgodził się na te warunki bez wahania i zarazem oświadczył, że nie posiadając w tem mieście żadnych znajomych, których by mogł prosić jako świadków, jest zmuszony żądać od jednego z sekundantów przeciwnika, aby wyświadczył mu tę przysługę. Po krótkim namyśle starszy z zastępców Springera przyjął na siebie ten obowiązek, zwłaszcza, że i tak już odstąpiono poniekąd od zasadniczych reguł pojedynku, a sprawy utrudniać ani zwlekać nie chciano. Pozostawało tylko omówić czas i miejsce spotkania.

Amerykanin zaproponował, aby pojedynek odbył się nazajutrz o świcie, a wybór miejsca pozostawił Cezarowi i sekundantom. W ten sposób w ciągu kwadransa załatwiono sprawę; z tą samą powagą podnieśli się z krzeseł, wzięli do rąk cylindry i zwrócili się ku drzwiom. Przed samym jednak progiem zatrzymali się i jeden z nich rzekł jeszcze do Archera:

— Główną naszą misyę załatwiliśmy tak szybko i bez żadnych trudności, iż spodziewam się poboczną sprawę tak samo zakończyć. Pan Cezar Springer prosił nas, abyśmy zapytali pana, dlaczego pan właściwie wystąpił w obronie panny Heleny Springer, czy pan ją zna i jaki stosunek ją z panem łączył, czy też łączy jeszcze?

Pytanie było wystosowane w sposób bardzo grzeczny i delikatny, a odpowiedź na nie była taka sama, lecz stanowcza:

— Bardzo żałuję, ale w tym kierunku nie dam panom żadnych wyjaśnień!

Sekundanci skłonili się lekko i w milczeniu opuścili pokój, a Amerykanin odetchnął trochę swobodniej. Teraz, kiedy był już pewny, że z bronią w ręku stanie naprzeciwko swego rywala, spoglądał obojętnie w przyszłość a przytem sądził, że jest dość już przygotowany na widzenie się z Heleną po tak długiej rozłące. Z całym spokojem postanowił wysłuchać jej usprawiedliwienia i strzelić w powietrze, wystawiając własną pierś na kulę przeciwnika, gdyby mu oświadczyła, że serce swe oddała Cezarowi Springerowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z półek księgarskich.

Księga adresowa Krakowa i Podgórza, wydana na rok 1906 przez **Stefana Mikulskiego,** jest u nas pierwszem wydawnictwem tego rodzaju, opracowanem rzeczywiście starannie, tak, że śmiało można ją polecić, jako podręcznik dla wszystkich pożyteczny. A nikt nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, ile to trudu w naszych stosunkach przedstawia zebranie wiarygodnego materyału na cel podobny. Dość powiedzieć, że współpracownicy tego wydawnictwa musieli się często spotykać z takim brakiem jeszcze kultury, iż mnóstwo osób nie chciało im podawać swoich adresów, nie pojmując, że to leży we własnym interesie mieszkańców i że dawno odczuły potrzebę takich podręczników, niezbędnych w biurach, w handlu i przemyśle, a nawet w stosunkach towarzyskich — miasta nawet mniejsze od Krakowa za granicą, gdzie rokrocznie wychodzą księgi adresowe z najdokładniejszemi informacyami i zastępują istnienie biur adresowych policyjnych. To też za zasługę należy poczytać p. Mikulskiemu, że zdołał na rocznik bieżący zebrać już blisko 50000 adresów ludności krakowskiej. Jego gruba księga (w cenie 3 koron) zawiera prócz kalendarza i przewodnika po obu miastach, spisy mieszkańców Krakowa i Podgórza, spisy zawodów, firm protokołowanych, wykazy właścicieli realności według ulic, oraz posiadaczy połączeń telefonicznych, szematyzm, a nawet wykaz zdrojowisk i uzdrowisk polskich, adresy właścicieli dóbr i dzierżawców w Galicyi, wreszcie przepisy pocztowe itp. oraz liczne inseraty.

Rozwiązanie zagadek z Nru. 5.

Szarada: Balladyna.

Logogryf.

GraB
Romeo
Urodzaj
Słowo
Złoczów
Ekran
Chuligani
Korzec
Ignacy

Gruszecki — Bojownicy.

Zagadka:

PromM
AraratAt
Hegira
złom
Zygzak
Jadwinia
Przewodnik
PanJaFfy
Ataman
Fial
Krople
Gambia
Montreal
czar
Wyziew
Miłosz

Prezydent Francyi — M. Armand Fallieres.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: W. Zajączkowski Strzyżów, L. Seimówna Kraków, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, J. Kulczyńska Kraków, J. Wesoła Lwów, Br. Kasprzykówna Ludwinów, W. Kulczyńska Kraków, K. Kaczarowski Sanok, J. Lipińska Okno, Ks. M. Sztyrak Złoczów, St. Andrysik Kraków, Z. Ehrenberg Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, J. Jaroszkówna Przybysławice Król. Polskie, N. Auerówna Podgórze, Jaś Jachimski Kraków, St. Stawski Podgórze, J. Turski Kraków, M. Gieszczykiewicz Kraków, Świtkowski Kraków, B. Pieterkiewicz Czerniowce, Wł. Dobrowolski Mościska, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Fuchs Peczeniżyn, Siła Nowiccy Sokal, B. Maszyński Drohobycz, J. Duszyński Niepołomice, I. Pompianka Kraków, J. Sulkowski Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, A. Sanetra Założce, H. Szczerbowa Majdan, O. Piotrowska Kraków, Wł. Jasiński, Żywiec, P. Świder Borszczów, W. Pytlik Ujkowice, J. Terek Wola miechowa, Ks. T. Grzesiak Mogiła, E. Mroziński Mosty wielkie, F. Kulesza Kraków, K. Łaszkiewicz Sambor, P. Nowiński Tarnów, W. Kops Płaszów, K. Jasiński Sambor, J. Bojuk Bełz, E. Kawiński Pruchnik, Niewiarowska Kraków, C. Głębocki Kraków, B. Deskur Lwów, A. Plewicka Kalisz Król. Polskie, St. Waśniewski Kossów, Br. Rudkowska Dąbrowa, K. Jurkiewicz Tłumacz, J. Czechowicz Mikołajów, S. Suchomel Tartarów, T. Langier Kraków, A. Popielówna Buczacz, L. Śniegocki Zakopane, L. Fortuna Kęty, Czytelnia mieszczańska Kęty, St. Dydacka Żurawno, M. Gerstman Dobrostany, A. St. Bassara Niwiska, K. Marcelina Częstochowa Król. Polskie, L. Świeżawska Gładyszów, St. Gajdeczka Zapałów, H. Andrysik Dąb, Wł. Hałdziński Lichwin, S. Samueli Limanowa, Kółko rolnicze Majdan zbydn., Fr. Kalita Gawłószowice, T. Wodczyński Małkowice, E. Bogdalska Koropuż, J. Ramoszyńska Borysław, St. Szwabowicz Żurawno, F. Jeleński Nowy Targ, M. Rożański Gorlice, R. Cegielski Sosnowiec Król. Polskie, M. Gałuszkiewicz Lwów, Włodzio Macherski Częstochowa Król. Polskie, L. Maruszczak Jezierzany, L. Proszowska Warszawa Król. Polskie, St. Piorunkiewicz Warszawa Król. Pol., Z. Karaś Leoben, Czytelnia Polska Leoben, M. Opolska Czarny Dunajec, W. Zralski Podgórze, M. Cellerinowa Busk, H. Ulrich Malin, Zula Boguska Tarnopol, K. Radwańska Nowy Sącz 2, K. Chłopicka Zawałów, P. Wierzba Trzyniec Śląsk austr. E. Byszewski Kraków, St. Cyran Jasło, T. Domain Sanok, H. Leligdowicz Fraga, Al. Bocsoń Bóbrka, M. Gumułka Siedliska, M. Arbesbauer Lwów, M. Cetera Dubiecko, K. Weinarówna Przemyśl, J. Badura Rożdzień Śląsk pruski, A. Maissówna Przemyśl, H. Zielińska Manajów, A. Knapińska Kraków, J. Barzykowski Lwów, Br. Jakubowska Bochnia, M. Zollnerówna Tarnopol, H. Doening Schodnica, W. Łysakowska Gnojnik, Wł. Nowiccy Wiśnicz, A. Surowiecki Kraków, J. Bielawski Brzeżany, A. Janowski Bóbrka, Wł. Kisielewski Stryj, M. Kozłowska Busk, Towarzystwo „Jedność“ Łazy, Ks. M. Struś Nastasów, J. W. Czaczka Rzeszów, J. Staronka Kraków, W. Stanula Samocice.

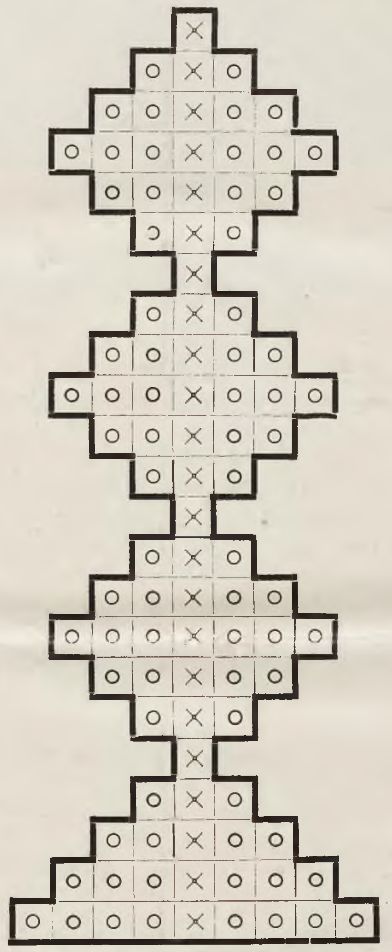
Nagrodę przez losowanie otrzymała **p. St. Dydacka**. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Ułożył K. Chodkiewicz Zbydniów.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły określenie kwestyi politycznej, szczególnie dziś Austryę obchodzącej.

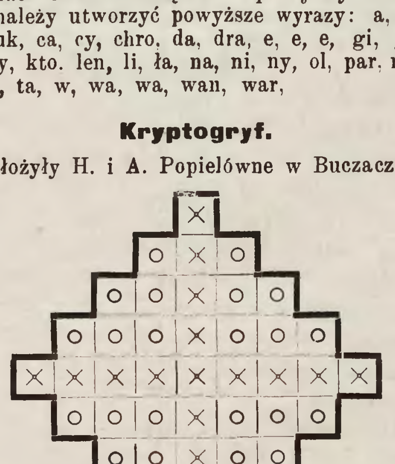


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Bóg wiatrów u starożytnych. 3. Ptak. 4. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 5. Jeden z głównych dopływów Dunaju. 6. Wykrzyknik. 7. Samogłoska. 8. Najpospolitsze imię mahometańskie, oznaczające także cześć i godność. 9. Imię żeńskie. 10. Czas wolny od nauki szkolnej. 11. Miasto w Galicyi zachodniej. 12. Drzewo u nas pospolite. 13. Spółgłoska. 14. Zaimek pytający lub względny. 15. Rzeka, nad którą leży Poznań. 16. Przydomek jednego z królów polskich. 17. Jedno z największych państw w Europie, dzisiaj cały świat zaciekawiające. 18. Roślina. 19. Spółgłoska. 20. Miasto w starożytnej Focydzie, słynne z wyroczni i wspaniałej świątyni Apollina. 21. Miasto w Galicyi. 22. Miasto na Węgrzech, słynne zwycięstwem Sobieskiego. 23 Słynne miasto w Afryce, zburzone przez Rzymian.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których należy utworzyć powyższe wyrazy: a, a, ach, ba, bia, bry, buk, ca, cy, chro, da, dra, e, e, e, gi, ja, ka, ka, ka, kar, kry, kto. len, li, ła, na, ni, ny, ol, par, r, ro, s, sło, soj, sya, ta, ta, w, wa, wa, wan, war,

Kryptogryf.

Ułożyły H. i A. Popielówne w Buczaczu.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł powieści, drukującej się w jednym z tygodników, wychodzących w Krakowie.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę domowe. 3. Inaczej klatka dla kur. 4. Inaczej marzenie. 5. ? 6. Nazwisko przyjaciela Mickiewicza. 7. Pieszczotliwa nazwa zwierzęcia domowego. 8. Wykrzyknik. 9. Samogłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya **wspaniały tort czekoladowy** z cukierni lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.

Kącik humorystyczny.

Myślący.

— Mój panie konduktorze, mityguj się pan: pan nie *myślisz* widocznie, co masz powiedzieć!

— Co? ja nie *myślę?!* Mój panie! Ja urodziłem się w *Myślenicach*, chodziłem do szkoły w *Przemyślu*, ożeniłem się w *Radomyślu*, moja matka mieszka w *Mysłowicach*, a wuj w *Przemyślanach*! A pan śmiesz mówić, że ja nie jestem *myślący?*.. Powinienbym pana za to *zwymyślać* — wiesz pan!?...

* * *

W kawiarni. Jasiu! podaj mi *dzisiejszy* dziennik!

— O... dzisiejszego nie mogę, proszę pana!

— Dlaczego?

— Bo go wziął do czytania pan profesor — a zanim ten skończy, to dziennik będzie już *wczorajszy*!

* * *

— Kaszlesz mój mężu?!

— Musiałem się zaziębić wczoraj wieczór piwem... Było jakieś bardzo zimne.

— Piwo jak piwo... ale wracałeś pewno gdzieś koło drugiej, a nie chcąc mnie zbudzić, szedłeś przez schody w skarpetkach!

* * *

— Proszę mi powiedzieć, co oznacza to wyrażenie z mitologii: „Męka Tantala“!

— Jak pan profesor może się jeszcze o to pytać, egzaminując mnie już prawie pół godziny bez przerwy?...

* * *

— Wasz syn, matko, nie ma talentu... Siedzi **już trzeci rok w jednej klasie.**

— Jii... talent on ma — a że siedzi, to odziedziczył widać po ojcu... **Ten także siedział trzy** lata w kryminale.

* * *

— Jakże się ma mąż pani?

— Tak tam!... ale ciągle ma kłopot z żołądkiem.

— Cóż? nie może jeść?

— Właśnie, że apetyt ma ogromny i w tem cały kłopot... Pomyśl pani, jaka to teraz drożyzna!

W szkole.

Profesor. Proszę nie zapisywać za mną wszystkiego, co wykładam, przecież to niema sensu.

Pewność.

Nowy lokator. Czy to mieszkanie jest pewne, bo posiadam wiele kosztowności.

Gospodyni Może pan być spokojny, mój mąż znajduje się pod dozorem policyi.

Niezawodny sposób.

Właściciel podmiejskiej restauracyi. Wojciechu, idźcie no i nasypcie trochę tłuczonego szkła na drogę, żeby te cyklisty do nas zajechały.

Mecenas sztuki.

A. Wszak przyjdziesz pan dziś wieczorem do nas na raut? Początek o 8-mej — deklamacya, śpiew, gra na fortepianie, a o 10-tej kolacya.

B. Z miłą chęcią, więc przyjdę o 10-tej punktualnie.

Jasny argument.

Ona Czy tylko uczucia pańskie ku mnie są szczere?

On. Ależ, panno Zofio, czyżbym inaczej klęczał w moich nowych spodniach?

W jadalni.

Gość. Kelner, ten befsztyk jest twardy i stary. Zawołaj mi kucharki.

Kelner. Mogę zaręczyć, że kucharka wcale nie jest młodszą.